

ANDRZEJ SZOMAŃSKI

1930–1987

PUBLIKACJA POKONFERENCYJNA

Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego NN
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
Warszawa, 29 października 2017 roku

Opracował i zredagował Mirosław Lewandowski

© Copyright by Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego
Wydawca – Wydawnictwo Polskie IHOO

Wydanie I
Warszawa, 2018

ISBN 978-83-949058-3-5

Zapraszamy na stronę – Internetowe Archiwum KPN –
www.earchiwumkpn.pl

Skład, druk i oprawa:
Agencja Wydawnicza i Reklamowa AKCES Sukces Sport

Jak stwierdził Adam Skwarczyński, „Żaden wysiłek nie idzie z nicości w nicość, lecz wrasta w głębę życia, w jego organizm...”. Tą dewizą stara się kierować Instytut Historyczny im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Nasze działania nie byłyby możliwe bez wsparcia naszych darczyńców i ofiarodawców.

Dziękujemy!

Ta pozycja została dofinansowana przez Urząd do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych



W imieniu Instytutu gorąco dziękujemy!

Ś†P

ANDRZEJ SZOMAŃSKI

„Jerzy Jastrzębczyk”

„Zbigniew Kutnowski”

działacz niepodległościowy, historyk, publicysta,

ur. 6 czerwca 1930 – zm. 29 października 1987

żołnierz Powstania Warszawskiego, członek Szarych Szeregów, a od 1954 – Związku Harcerstwa Polskiego i Sodalicji Mariańskiej, uczestnik podziemnego ruchu oporu 1946–1950, uczestnik nurtu niepodległościowego (nn) od 1961 roku, członek, a następnie szef Kierownictwa Akcji Historycznej „nn” 1965–1976, członek Konwentu „nn” 1974–1977, uczestnik Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, od 1979 roku współzałożyciel i członek Rady Politycznej Konfederacji Polski Niepodległej, od 1979 roku szef Obszaru Centralnego KPN w latach 1982–1985 i 1986–1987, członek NSZZ „Solidarność” od 1980, współinicjator i Przewodniczący Komitetu Katyńskiego od 1981. Wielokrotnie aresztowany, więzień polityczny 1950–1955 i 1985–1986, autor książek poświęconych historii Polski XIX i XX wieku, publicysta historycznych tygodników „Za i przeciw” 1957–1974 i „Stolica” 1974–1981, współpracownik pism niezależnych „Opinia” 1977–1978, „Droga” od 1978, „Gazeta Polska” od 1979, redaktor „Przyszłość Polski” 1982–1985, współorganizator „Wydawnictwa Polskiego” w 1977 i jego kierownik 1978–1980, członek zespołu redakcyjnego pisma „Solidarność Mazowsze” przed 13 XII 1981.

Odszedł nagle, w pełni sił twórczych,
na posterunku pracy niepodległościowej.

Cześć jego Pamięci!

Przewodniczący, Rada Polityczna,
Centralne Kierownictwo Akcji Bieżącej,
Obszaru Centralnego
Konfederacji Polski Niepodległej

ANDRZEJ

Poznaliśmy się dwa razy. Najpierw na jakiejś dyskusji historycznej, chyba w Instytucie Historii PAN. Był to trudny okres, przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Popaździernikowa Polska nurzała się w „małej stabilizacji”; po piętnastoleciu ustawicznego, krwawego terrorku w latach 1939–1955 ludzie byli przygięci do ziemi. Bali się dalszych cierpień, odzégnywali od „szaleństwa romantyzmu” i „porywania się z motyką na słońce”. Korzystała z tego władza finansując i faworyzując wszelkie poczynania wymierzone przeciwko polskiej tradycji niepodległościowej; w gazetach, książkach, filmach. W dyskusjach naukowych wyśmiewano albo potępiano samo pojęcie niepodległości, w dążeniu do niej upatrując źródła wszystkich polskich nieszczęść, zaś jej rzeczników i obrońców traktowano w lepszym wypadku jako półgłówków, w gorszym – jako faszystowskich zbirów. Ludzi, którzy sprzeciwiali się tej przemożnej fali było bardzo niewiele... Wtedy właśnie, może to był rok 1959, na jednej z tych dyskusji jakiś młody, wysoki szczupły człowiek wystąpił bardzo ostro w obronie tych, którzy za niepodległość dali życie. Potem spotkałem go na innej dyskusji, poznaliśmy się, był to Andrzej Szomański. Przyglądaliśmy się sobie, próbując dociec, co się tam w głębi nas kryje. Wspólne poglądy historyczne to jeszcze nie było wszystko. O poglądach politycznych niebezpiecznie było mówić, o konspiracyjnej robocie... Chociaż było już po wielkiej październikowej amnestii i tysiące ludzi powychodziło z więzień – to jednak nie wszyscy wyszli, a droga z powrotem była bardzo łatwa. Robota niepodległościowa groziła ryzykiem zgoła innym niż udział w walkach frakcyjnych w PZPR i bawienie się w komunizm. Patrzyliśmy się więc na siebie z zaintereso-

waniem i ciekawością, a na razie okazało się, że mamy wspólny pogląd na Piłsudskiego; mianowicie, wbrew prawie powszechnym poglądom, nie uważaliśmy go za agenta niemieckiego i krwawego faszystę. To wówczas było już bardzo dużo.

Pewnego dnia bardzo konspiracyjnym trybem otrzymałem wiadomość, że za jakiś czas mam się pojawić w pewnym warszawskim mieszkaniu, gdzie będzie czekał ktoś, kto pomoże mi w robocie. Energiczny, wykształcony, oddany i po odsiadce w więzieniu. Byłem już wówczas w nuncie niepodległościowym i uczestniczyłem w organizowaniu komórki, której zadaniem miało być przygotowanie i koordynowanie różnych wystąpień dyskusyjnych i aluzyjnych publikacji w cenzurowanej prasie, broniących sprawy i tradycji niepodległości; później nazwaliśmy to Kierownictwem Akcji Historycznej. Danego dnia, z zachowaniem wszelkiej ostrożności, z przygotowaną legendą, dlaczego się pod tym adresem znalazłem, z hasłem wywoławczym itd. – zgłosiłem się do jakiegoś mieszkania na Żoliborzu. Przyjęła mnie starsza pani, zaprowadziła do pokoju w głębi i znikła ze słowami; „Bardzo przepraszam, ale muszę zaparzyć herbatę”. Czekał na mnie Andrzej. „Przecież my się znamy” – powiedziałem odruchowo i gwałtownie urwałem – bo było to już naruszenie niezmiernie sztywnych wówczas zasad konspiracji.

I tak się zaczęła nasza współpraca. Akcja historyczna – bagatela, robiliśmy to razem chyba dwanaście lat. Przygotowania do podjęcia jawnej działalności opozycyjnej i niepodległościowej, tajny Konwent, później techniczny Nurt Niepodległościowy – baza dla Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, później jawne wydawnictwa; „Opinia”, „Droga”, „Gazeta Polska”, Wydawnictwo Polskie, wreszcie Konfederacja Polski Niepodległej – jawna i podziemna, oraz pointa; więzienie i wyrok.

Po raz drugi został skazany za to, że walczył o Polskę niepodległą. Należało mu się to dumne wyróżnienie. Zasłużył na nie całym swoim życiem.

Leszek Moczulski

Tekst ten ukazał się po śmierci Andrzeja Szomańskiego w piśmie „DROGA” nr 25 z 1987 roku.

...PAN ANDRZEJ

To był człowiek, który nauczył mnie tego, czym jest służba Niepodległej. Andrzej Szomański to wielki rozdział mojego życia osobistego, ale także życia i działalności moich kolegów i przyjaciół z młodzieżówki Konfederacji Polski Niepodległej i „Świtu Niepodległości”.

Poznałem Pana Andrzeja jesienią 1984 roku. Wydawało mi się, że nareszcie znalazłem osobę, która jest ucieleśnieniem moich marzeń, która mnie wprowadzi w techniki niepodległościowej konspiracyj. Nie pomyliłem się. Zapalałem od razu gorącą sympatią do tego starszego pana ze znaczkami Marszałka w klapie. Mówił to, o czym wyczytałem w trudno dostępnych wówczas pisemkach niepodległościowych, mówił o współczesności, o KPN jako kontynuacji ideologii Józefa Piłsudskiego. W marcu 1985 obiecał mnie i moim kolegom spotkanie z Leszkiem Moczulskim, na które mieli przyjechać obaj. Niestety zatrzasnęły się bramy komunistycznych kazamat i Pan Andrzej, Leszek Moczulski i inni członkowie Rady Politycznej KPN zostali uwięzieni. Potem był proces, sąd i długie czekanie, ale nie bierne. Postanowiliśmy, ażeby pan Andrzej, kiedy „wyjdzie”, zobaczył, że nie czekaliśmy z założonymi rękami, że to, o czym mówił, zmieniliśmy w czyn. Można by tu wymienić cały szereg inicjatyw mniej udanych, udanych (jak czynny udział w uroczystościach 50-lecia śmierci Marszałka Piłsudskiego), lub zupełnie nieudanych, ale nie jest to teraz najważniejsze. Dzięki temu, że znałem pana Andrzeja przed marcem '85, naszej grupie udało się nawiązać kontakt z młodzieżówką KPN, a mnie wziąć udział w VI Marszu Szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej. Nadszedł wreszcie radosny

moment i w ostatnich dniach sierpnia 1986 Andrzej Szomański znów był na wolności. Od razu rzucił się w wir działania. Poinformowałem go o naszych poczynaniach w okresie jego nieobecności i spytałem, co robić dalej. Dowiedziałem się wtedy, że w marcu 1985 miał przyjechać z Leszkiem Moczulskim już z konkretną dla nas propozycją, tzn. chciał utworzyć grupę młodzieży na wzór przedwojennego harcerstwa. Myślał o rodzaju młodzieżowego ruchu piłsudczykowskiego, który byłby oparty właśnie na takich organizacjach. Teraz zaproponował mi realizację tego marcowego planu. Otwierało to przed nami, grupą młodzieży przeważnie licealnej, horyzonty szerszej działalności. Ale nie wiedział Pan Andrzej o naszej ostatniej inicjatywie, o powołaniu młodzieżowej grupy afiliowanej przy KPN pod nazwą „Świt Niepodległości”. Było to przedsięwzięcie poważne i trochę było głupio, że nie poczekaliśmy na niego. Bo przecież dla niektórych z nas był On pierwszym, który opowiedział o Konfederacji, o działalności niepodległościowej. To On dał nam do ręki pisma i ulotki, jak inne od tych ze sloganami o „walce z podwyżką cen” czy o „prawie do pracy”. On był pierwszym nauczycielem na drodze edukacji niepodległościowej. Naturalnie wyszło szydło z worka. Jak członek Rady Politycznej może nie wiedzieć o działaniach skonfederowanych grupach afiliowanych. Natychmiast zajął się nami. Stał się naszym niepisany szefem, doradcą, starszym przyjacielem. Przywiązało się do niego wielu chłopaków, którzy teraz tak samo jak ja, nie bardzo wierzą w to, co się stało. Ale wracając do przeszłości...

11 listopada 1986 – Święto Niepodległości – uroczysta Msza, potem manifestacja niepodległościowa, w której czynnie bierze udział pan Andrzej. Potem musi iść na zasłużony odpoczynek-rekonwalescencję, gdyż dolegliwości, których nabawił się w celach mokotowskich i więzieniach stalinowskich uniemożliwiają mu pełnienie obowiązków służbowych. Mija kilka tygodni i znów spotykamy się w wirze pracy niepodległościowej. Leszek Moczulski wyjechał na zachód w celach politycznych, a pan Andrzej został w Warszawie i razem z innymi działaczami KPN robi co może w kraju. 19 marca 1987 z jego inicjatywy została zorganizowana uroczystość w kościele w Sulejówku z okazji rocznicy imienin Marszałka Piłsudskiego. Byliśmy wszyscy. Wcześniej (chyba

jeszcze w styczniu) odbyło się spotkanie Pana Andrzeja z młodzieżą, na którym omówił cele wizyty L. Moczulskiego na zachodzie, a następnie wygłosił odczyt na temat którego był wybitnym znawcą – „Dzieje sprawy Katynia i losu Polaków w ZSRR 1939-1945”. Wtedy to poznał jednego z moich kolegów związanego z ruchem niepodległościowym raczej luźno. Dzisiaj chłopak ten jest jednym z najbardziej czynnych działaczy „Świtu Niepodległości”. Spotkań tego typu miał Pan Andrzej bardzo wiele. Ciągłe był w „rozjazdach”, ciągle był zajęty, a to cykl wykładów w kościele na Karolkowej, a to odczyt w duszpasterstwie ludzi pracy w Wilanowie, zawsze pogodny, uśmiechnięty. Przyciągał młodzież nie tylko wiedzą, ideą, ale i sposobem bycia, charakterem. Pamiętają go dobrze ci, którzy razem z nim uczestniczyli w ogniskach, biwakach, jak potrafił pięknie mówić o sprawach polskich, o patriotyzmie, o tym, że te nasze dzisiejsze zmagania to nic nowego, to kontynuacja działalności ojców bojowników o najważniejszą rzecz – o Najświętszą, Najjaśniejszą Rzeczpospolitą.

Giedymin

Powyższy tekst ukazał się w podziemnym piśmie „Świt Niepodległości” nr 4 z 1987 roku. Pod pseudonimem Giedymin kryje się autor Jerzy Woźniak.

WPROWADZENIE

Mirosław Lewandowski

**Wiceprzewodniczący Rady Programowej Instytutu Historycznego
nn im. Andrzeja Ostoja Owsianego:**

– Witam Państwa bardzo serdecznie na konferencji organizowanej przez Instytut Historyczny nurtu niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Bohaterem dzisiejszej konferencji jest Andrzej Szomański.



Konferencja jest organizowana nieprzypadkowo w tym czasie, dlatego że obchodzimy właśnie smutną rocznicę śmierci Andrzeja.

Przebieg konferencji będzie taki, że mamy trzech prelegentów. Zacznie Maciej Gawlikowski z Krakowa, który dokona czegoś, co można by nazwać w cudzysłowie lustracją naszego dzisiejszego bohatera.

W dalszej kolejności Jerzy Woźniak opowie o Andrzeju, który był jego Mistrzem, Nauczycielem, przewodnikiem w działalności opozycyjnej, w Konfederacji Polski Niepodległej.

No i na końcu nasz drogi nestor, dr Bohdan Urbankowski spointuje całą tę postać i opowie również o swoich wspomnieniach związanych z Andrzejem.

Zanim zaczniemy, pozwolą państwo, kilka słów wstępu.

Czas przyszedł taki, że się wszystkich dzisiaj lustruje. Papiery SB stały się przynajmniej w niektórych środowiskach swoistą wyrocznią czy też świadectwem moralności pewnych osób. Można ubolewać, że przez tyle lat nie udało się wypracować w wolnej Polsce pewnej wspólnej metodologii interpretacji tych papierów i ich rozumienia.

A błąd, który jest tu popełniany, bardzo duży błąd, jest to stary jak świat błąd prezentyzmu, to znaczy oceny działania ludzi w przeszłości tak, jakby oni działali dzisiaj. I wtedy nie widzimy całego kontekstu, nie widzimy całej złożoności sytuacji, w jakiej tym ludziom przyszło działać i po prostu oceniamy ich tak, jakby oni dzisiaj działali, w dzisiejszych warunkach. A dzisiaj, jak wiadomo, odwaga staniała a rozum zdrożał, stąd też bardzo łatwo jest o niesprawiedliwe czy też fałszywe osądy.

Andrzej Szomański to jest człowiek, który działał od lat 40. ub. wieku aż do śmierci w latach 80. i trzeba mieć świadomość, w jakich się to odbywało warunkach.

Zacznijmy od Armii Krajowej, której żołnierzem był Andrzej. Jej metody działania, zarówno w czasie wojny, jak i po wojnie, daleko odbiegały od tego, co dzisiaj się próbuje zbudować, moim zdaniem w dużej mierze niesłusznie i nieprawdziwie, i co się nazywa ideologią Żołnierzy Wyklętych. Żołnierzami Wyklętymi się nie będę zajmował, proszę się nie niepokoić. Powiem parę słów o Armii Krajowej.

Dwie migawki.

Jedna migawka jest z czasów II wojny światowej. Niedotycząca Andrzeja, ale postawy, którą uważam za typową dla żołnierzy AK. Pułkownik Józef Spychalski, brat Mariana, PRL-owskiego marszałka, był komendantem okręgu Armii Krajowej w Krakowie. W 1944 r. trafił do więzienia gestapo. Przyjechał wtedy z Berlina specjalny wysłannik i złożył Józefowi Spychalskiemu pewną ofertę. Mianowicie Niemiec zaproponował mu, że zostanie wypuszczony z więzienia gestapo, ma się skontaktować z Komendantem Głównym AK – Borem i ma mu przekazać specjalną ofertę, żeby Armia Krajowa wspólnie z Niemcami prowadziła wojnę przeciwko Sowietaom. Czyli była to oferta przyjęcia taktyki takiej, jaką realizowała mniej więcej w tym czasie (trochę później) Brygada Świętokrzyska Narodowych Sił Zbrojnych. Jak się zachował Spychalski? Spychalski, i to chciałbym podkreślić, odmówił wyjścia z więzienia, powiedział natomiast, że jest tu jego oficer, też trzymany przez Niemców, niech on wyjdzie, niech on tę informację przekaże. Był to ppłk Alojzy Kaczmarczyk. Spychalski zdecydował się na przekazanie tej informacji Borowi, dlatego że było dla niego jasne, że Bór ofertę odrzuci, ale było też dla niego jasne, że Bór musi wiedzieć, że Niemcy są tak słabi, że tego typu ofertę Armii Krajowej składają. Ta historia ma ciąg dalszy. Kaczmarczyk wyszedł, skontaktował się z Borem, wrócił do więzienia i przekazał Niemcom odpowiedź negatywną, Niemcy ponowili ofertę, Kaczmarczyk jeszcze raz wyszedł z więzienia gestapowskiego, jeszcze raz rozmawiał. Wtedy dostał rozkaz – „Masz nie wracać do więzienia, my ci gwarantujemy bezpieczeństwo”. Los okazał się szczęśliwy dla niego, bo przeżył okupację niemiecką, wstąpił potem do WiN. Zatruli go dopiero komuniści po wojnie. Natomiast Józef Spychalski, któremu Niemcy oferowali wyjście, zginął w więzieniu.

Co nam pokazuje ta historia? Ta historia pokazuje nam, że ci ludzie byli gotowi rozmawiać z Niemcami, śmiertelnymi wrogami, nawet po tych wszystkich zbrodniach niemieckich w Polsce w latach 1939–1944, nawet w takiej sytuacji, w której siedzieli w ich więzieniu. Nie było więc tutaj postawy niezłomnej w tym sensie, że „My z panami nie będziemy rozmawiać”. A zarazem widać w tej postawie Spychalskiego, która myślę, że jest typowa dla sporej części oficerów Armii Krajowej,

pewną pogardę dla własnego życia, pewną pogardę dla własnego losu. „Mój indywidualny los się nie liczy. Liczy się tylko polska racja stanu”. Tak zachował się Spychalski i tak zachowywało się wielu innych oficerów Armii Krajowej.

Myślę, że z takiej właśnie postawy wyrósł Andrzej Szomański. Jeżeli byliby nawiązać do świetnej, klasycznej książki naszego drogiego nestora, Bohdana Urbankowskiego (*Filozofia czynu*), to tam Bohdan opowiada o postawie rycerskiej prowadzenia walki i mówi, analizując Piłsudskiego, że ta postawa rycerska w działaniach Piłsudskiego doznała pewnych odstępstw na rzecz postawy powstańczej czy też konspiracyjnej. Takiej postawy, która niesie w sobie zachowanie lisa, zawiera elementy podstępny, kamuflażu – takiej postawy, powiedzielibyśmy, wallenrodyczej czy też makiawelicznej. „Ponieważ jesteśmy słabi, to nasza walka prowadzona ze zdecydowanie silniejszym przeciwnikiem, nie jest oparta li tylko na zasadach rycerskich. Musimy uciekać się do podstępny, musimy uciekać się do mistyfikacji, bo naszym celem jest obrona polskiej racji stanu, a warunki są takie, że walcząc rycersko, po prostu damy się zabić. Mnie mogą zabić, ale ja się nie kieruję tym, żebym ja pięknie zginął, tylko kieruję się tym, żeby dla Polski było jak najlepiej”. Skończyła się jedna okupacja niemiecka, zaczęła się druga – sowiecka. Żołnierze Wyklęci podjęli walkę zbrojną. Jeżeli natomiast chodzi o środowisko akowskie, zwłaszcza o tych, którzy byli w Powstaniu, potem byli w oflagach, to oni wybierali inną drogę. Tam w oflagach była bardzo ostra dyskusja: „Wracać do kraju, czy nie?”. Jeżeli mówimy o nurcie niepodległościowym, który działał w kraju, tym, z którego wyrósł Andrzej Szomański, to ci ludzie podjęli decyzję – „Wracamy do Polski, bo w kraju rozstrzygają się jej losy”. Taką decyzję podjął między innymi Jan Rzepecki, chociaż on później zawiódł, Ludwik Muzyczka, Kazimierz Pluta-Czachowski. Ale tam były bardzo duże opory. Na przykład generał Pełczyński, czy sam Bór, wybrali emigrację. I potem widać było, jak rzeczywiście stopniowo byli marginalizowani. Natomiast ci ludzie, którzy wrócili do kraju, a wywodzili się ze środowiska Armii Krajowej, nie byli ludźmi, którzy podjęli walkę zbrojną. Przynajmniej nie taki był ich cel. Jeżeli czytamy deklarację ideową zrzeszenia „Wolność

i Niezawisłość”, której współautorem był ppłk Ludwik Muzyczka „Benedykt”, to tam jest bardzo mocno położony akcent, że walka, którą będziemy prowadzić o niepodległość Polski, będzie walką polityczną, nie zbrojną. Akcja polityczna – nie akcja militarna! To jest to, co przy innej okazji ktoś inny powiedział, że „Szukamy takiego pola starcia, na którym wróg nie może nas zniszczyć, a na którym my mamy szansę zwyciężyć”. Inaczej można powiedzieć – „Nie podejmujemy walki na takiej płaszczyźnie, na której nie możemy zwyciężyć”. Efekt był taki, jak wiemy, że część tych akowców, którzy wrócili, zostało zamordowanych przez komunistów. Niemal wszyscy przeszli przez więzienia. Właśnie Ludwik Muzyczka czy Kazimierz Pluta-Czachowski, który w jakiś sposób, jak sądzę, był dla Andrzeja Szomańskiego szefem i przewodnikiem tutaj z Warszawy (bo Muzyczka był z Krakowa).

Opowiem teraz drugą historię. Jak siedzieli w więzieniu stalinowskim, Pluta-Czachowski i inni, ich celem głównym było doprowadzenie do sytuacji, w której jak najdłużej zachowają życie. Bo mieli świadomość, że jak umrze Stalin, jak zacznie się zmieniać sytuacja, to mają szansę przeżyć. Natomiast jak dadzą się skazać w 1952 roku, to ich szansa na przeżycie jest niewielka. Dlatego robili wszystko, aby przedłużyć śledztwo. Co robili? To gdzieś w papierach bezpieczeniackich jest opisane. Zaczęli w celi, do agentów celnych opowiadać nieprawdziwe historie, które obciążały innych ludzi. Kogo obciążały? Na przykład generała Tatara, który jak pamiętamy wrócił z Londynu, przywiózł tutaj złotu FON-u, a na dodatek przekazał komunistom cenne dokumenty. I rzeczywiście Tatar został wkrótce zamknięty. Przyznam, że nie badałem, czy wskutek tego, co opowiadali agentom celnym zamknięci już oficerowie AK, ale jest to prawdopodobne. Też tam padają dwa nazwiska, których nie pamiętam, ludzi, którzy w czasie wojny służyli w AK, a po wojnie służyli w Ludowym Wojsku Polskim, służyli chyba zbyt gorliwie... I tych ludzi również obciążono. Zostali zamknięci, zostali poddani drobiazgowemu śledztwu, zaczęli podawać dalsze szczegóły, w rezultacie ci pierwsi, którzy to zainicjowali, nie mogli być skazani, bo śledztwo ciągle trwało i pojawiały się w nim nowe wątki. Czy Tatar był winny czy niewinny? Nie był winny tego, o co go posądzano

w rozmowach z agentem celnym, ale był winny zdrady polskiej racji stanu, a przynajmniej – był winny grubego błędu. Poniósł karę z rąk komunistów wskutek użycia metody, która na pewno nie była metodą rycerską.

Takie postawy wallenrodyczne czy makiaweliczne w tym środowisku Armii Krajowej, o którym tutaj mówimy, były na porządku dziennym.

Potem oni wyszli z więzień, potem stopniowo zintegrowali środowisko, odsiali tych, którzy byli bierni, albo takich, jak Rzepecki, którzy kolaborowali. To twarde jądro skupiło się w Warszawie wokół płk. Pluty-Czachowskiego. Stopniowo zaczęto się organizować. Bardzo ważną rolę odgrywały, jak przed Powstaniem Styczniowym, msze święte w ważne rocznice narodowe. Były to pogrzeby towarzyszy walki czy msze organizowane w rocznicę ważnych wydarzeń, jak np. czerwcu – nieprzerwanie od 1957 roku do końca lat 80. – w rocznicę aresztowania generała Grota. Były oczywiście marcowe uroczystości związane z imieninami Marszałka, grudniowe związane z urodzinami Marszałka, dwunasty maja – rocznica śmierci Marszałka, 6 Sierpnia i 11 Listopada – wiadomo. To stopniowo narastało.

Z raportów esbeckich wynika, że początkowo, mówimy tu o końcu lat 50. czy początku lat 60., przychodziła na te uroczystości garstka ludzi, głównie starszych. Byli oni bardzo ostrożni. W 1964 r., gdy wypadła pięćdziesiąta rocznica Kadrówki, legionieści próbowali zorganizować bardzo skromne uroczystości w Krakowie w tę rocznicę. Bezpieka wkroczyła momentalnie. Nastąpiły rewizje. I wielu z nich, mówiąc słownictwem Piłsudskiego, sfajdało się ze strachu. Spalili wszystkie papiery (mieli tam jakieś wnioski odznaczeniowe – wszystko spalili). Byli pewni, że za chwilę wrócą do więzień, jak w czasach stalinowskich. To pokazuje pewien nastrój, pewien klimat, bez którego nie rozumiemy tamtych lat.

Chodzi mi o to, żebyśmy uniknęli błędu prezentyzmu. Żebyśmy mieli świadomość warunków, w jakich Andrzej Szomański i inni ludzie stopniowo podejmowali działalność przed Sierpniem. Ta działalność Andrzeja wyrastała z lat 40., potem 50. i 60., ona wyrastała właśnie

z takiej atmosfery wielkiego strachu, jego stopniowego przełamywania i podejmowania samotnej walki. Bo dzisiaj ta I Brygada jest bardzo liczna, ale początkowo (po 1956 roku) była to ledwie garstka ludzi, takich – jak mówiono – staruszków, pięćdziesięcioparo- lub sześćdziesięcioparoletnich. To w naszym wieku, tak?

Głos z sali:

– Nieee...

Mirosław Lewandowski

– Tak. W aktach Pluty nazwisko Andrzeja pojawia się raz. Jakiś agent podaje w przypiływie szczerości, że Pluta ma wokół siebie grono młodszych od siebie ludzi i wymienia ich nazwiska, m.in. Andrzeja Szomańskiego (urodzonego w roku 1930) i Leszka Moczulskiego (ten sam rocznik). Jest to doniesienie, które pochodzi z początku lat 70.

Natomiast bardzo niewiele wiedziała bezpieka o tych ludziach i bardzo niewiele też my wiemy o ich działalności w tamtych czasach i o kontaktach Andrzeja ze środowiskiem akowskim. Ci ludzie bardzo stopniowo wychodzili na powierzchnię, jakby wchodząc po schodach – stopniowo wyłaniały się ich sylwetki...

Ważnym elementem, który był wzmocnieniem tej grupy, był sojusz z Kościołem. Tutaj wielką rolę odegrał Prymas Wyszyński. W roku 1966 to się zaczęło. Uświadommy sobie – dla ludzi wywodzących się z tradycji PPS-u, a takimi byli z reguły ludzie, którzy działali w nurcie piłsudczykowskim, sojusz z Kościołem wcale nie był sojuszem naturalnym. Taki Ludwik Muzyczka w Krakowie nawet nie praktykował i był otwartym antyklerykałem. Nie uczestniczył w opłatkach, praktycznie też w innych nabożeństwach. Tu w Warszawie Pluta- Czachowski zajmował trochę inne stanowisko. Ważną rolę w relacjach z Kościołem odgrywał generał Boruta-Spiechowicz z Zakopanego. Boruta i Pluta mieli świetne relacje z Wyszyńskim. To stopniowo narastało. Pluta, jak dowiedział się, że Stefan Wyszyński jako prosty ksiądz był kapelanem Armii Krajowej w zgrupowaniu „Kampinos”, to wpadł na pomysł, żeby dać Wyszyńskiemu Krzyż Armii Krajowej. W 1968 roku Wyszyńskiemu taką propozycję złożono. Nie jest jasne, czy on to przyjął, ale to budowało pewien klimat wzajemnego zaufania między

piłsudczykami wywodzącymi się w dużej mierze z PPS-u i Kościołem katolickim, który swoje sympatie polityczne lokował raczej w środowiskach Narodowej Demokracji. Coś, co nam się dzisiaj wydaje oczywiste, że Armia Krajowa z Kościołem była blisko, wcale takie oczywiste przed rokiem 1966 nie było.

Rok 1968 to była pięćdziesiąta rocznica odzyskania niepodległości. Wtedy już ten związek tu, w Warszawie, między nestorami nurtu niepodległościowego a Kościołem katolickim jest bardzo wyraźny. Wtedy (od grudnia 1968 roku) ruszają opłatki. Opłatki organizowane w Warszawie na Miodowej, gdzie często przemawiał Boruta-Spiechowicz i jego przemówienia wywoływały po prostu popłoch w kręgach kościelnych (zwłaszcza jedno takie przemówienie na początku lat 70. – potem Boruta przez rok czy dwa nie pojawiał się na Miodowej, bo Prymas był przerażony tym, co Boruta tam powiedział na temat konieczności wznowienia walki o odzyskanie niepodległości). Kończyły się te opłatki długim, godzinnym wystąpieniem Wyszyńskiego, który opowiadał o biskupach z Afryki, problemie związanym z Soborem Watykańskim II i wcielaniu jego reform. Wyraźnie starał się rozmyć tak jednoznacznie niepodległościowy czy patriotyczny klimat tych opłatków, spowodowany wystąpieniami Boruty.

Ruszyły też opłatki lokalne. Na przykład w Krakowie były takie organizowane u Dominikanów przez Ojca pułkownika Adama Studzińskiego. Ale jeżeli ktoś myśli, że kardynał Wojtyła angażował się tak mocno w tego typu działalność jak kardynał Wyszyński, to się myli. Wojtyła był jeszcze bardziej ostrożny niż Wyszyński.

To jest klimat, w jakim ci ludzie rozpoczynali działalność. Doszliśmy już powoli do lat siedemdziesiątych, ale jak państwo widzą, ciągle unosi się atmosfera strachu, ciągle unosi się klimat bierności, apatii społeczeństwa i ci starszycy, którzy w latach siedemdziesiątych już liczą siedemdziesiąt lat i więcej...

Andrzej Szomański był w porównaniu z nimi młodzikiem, bo on w roku, powiedzmy, siedemdziesiątym piątym, miał lat czterdzieści pięć. Był młodszy nawet od Maćka dzisiaj.

KONTAKTY ANDRZEJA SZOMAŃSKIEGO Z SB W ŚWIEŁLE ZACHOWANYCH DOKUMENTÓW

To będzie garść opinii wynikających z lektury akt Służby Bezpieczeństwa dotyczących Andrzeja Szomańskiego, jego akt agenturalnych oznaczonych pseudonimem „Historyk”.

Najpierw uwaga osobista. Znałem Andrzeja Szomańskiego. Kiedy podczas kwerendy w IPN-ie trafiłem na teczkę tajnego współpracownika „Historyk”, to mimo że nie byłem już w okresie fascynacji aktami SB (którą każdy badacz przeżywa na początku swojej drogi), po tej lekturze w czytelnicy IPN, bardzo pobieżnej, wyszedłem zdruzgotany.



Te akta pokazują bardzo częste w pewnym okresie kontakty ze Służbą Bezpieczeństwa. Bardzo łatwo nabrać się na to. Dopiero poważniejsza analiza tych materiałów pokazuje rzeczywisty obraz. I ten obraz wcale nie jest zły dla Andrzeja Szomańskiego. Jest to niewątpliwie przez niego prowadzona gra, a nie rzeczywista współpraca z SB.

I Andrzej Szomański, i Leszek Moczulski mieli łatwość wytłumaczenia się z kontaktów ze środowiskiem weteranów czy kombatanatów Armii Krajowej, NSZ, Powstańcami, żołnierzami Września, gdyż obaj byli historykami i obaj byli dziennikarzami piszącymi na te tematy. To wyraźnie widać w aktach – gdyby takie kontakty, podejrzane mocno dla Służby Bezpieczeństwa, miał człowiek będący aptekarzem, robotnikiem czy medykiem, byłoby to mocno podpadające i byłoby mu się trudno wytłumaczyć. Oni mieli pretekst do takich kontaktów. Oczywiście z tych powodów byli na celowniku Służby Bezpieczeństwa.

Pierwsze informacje o kontaktach z Andrzejem Szomańskim jako kandydatem na tajnego współpracownika, które pojawiają się w zapisach SB, są datowane na koniec 1975 roku. Jest on traktowany jako TW o pseudonimie „Historyk”. To są raporty dotyczące redakcji tygodnika WTK, w którym Andrzej Szomański pracował. O tyle dziwne, że w większości Andrzej Szomański informuje o sobie, a lejtmotywy jest informacja, że Andrzej Szomański, szef działu historycznego tygodnika, chce utworzyć kącik w gazecie poświęcony „lewicowej partyzantce”, czyli Gwardii Ludowej i Armii Ludowej. Konkretów żadnych nie ma, natomiast jest bardzo dużo raportów, że on chce koniecznie w tygodniku PAX-u przybliżyć czytelnikom historię GL i AL. Opisuje, że podjął współpracę z Wojskowym Instytutem Historycznym, ale oni mu nie chcą dawać materiałów i podejrzliwie go traktują, bo pracuje w piśmie katolickim. Jeśli chodzi o informacje na temat innych ludzi, to głównie dotyczą redaktora naczelnego tygodnika, Jana Wagnera. Mają bardziej charakter laurki niż donosu. Zacytuje: „Według redaktora Wagnera, towarzysz Gierek prowadzi słuszną politykę ekonomiczną”, „Zasługą towarzysza Edwarda Gierka jest utrzymanie właściwych proporcji między gospodarczą a propagandową sferą działalności organów państwowych”. Pochwały dotyczą też całej redakcji: „«Historyk»

nie odnotował złośliwych komentarzy wśród zespołu redakcyjnego dotyczących VII Zjazdu”.

Lektura tych doniesień rodzi pytania o jakość pracy oficerów SB. Zacytuję: „Wagner przedstawił zadania dla publicystyki kulturalnej WTK, zamykając je sformułowaniem: «Każdy człowiek w Polsce, ustosunkowując się do problemów ekonomicznych, w tym i do podwyżek cen, musi pamiętać, że krytykuje jako konsument, ale sam jednocześnie jest producentem, a więc musi krytycznie przede wszystkim patrzeć na siebie»”.

To majstersztyk! Twierdzenie, że w gospodarce PRL każdy jest też producentem, więc krytyka podwyżek ze strony obywateli jest właściwie autokrytyką. I jeszcze to wszystko – rzekomo – redaktor Wagner chciał opisywać w WTK w... dziale kulturalnym. Mówiąc wprost, jest to niespotykane wręcz spiętrzenie bzdur. Oficerowie SB z powagą to notowali, a ich zwierzchnicy potem omawiali w zbiorczych raportach.

Esbecy, charakteryzując postawę Szomańskiego wobec nich, piszą o jego pełnym entuzjazmie. O tym, że zachowuje się swobodnie, nie ma żadnych skrupułów, jest przekonany o słuszności współpracy, sprawia wrażenie głęboko zaangażowanego w rozwój społeczno-gospodarczy kraju i wręcz dopomina się o kontakt telefoniczny z oficerem prowadzącym, aby usprawnić przekazywanie informacji.

Tu warto przypomnieć przeszłość Andrzeja Szomańskiego – to, że siedział w latach stalinowskich w więzieniu po potwornym śledztwie, w którym za nic, za spotkania w gronie kilku ludzi i wydanie w kilku egzemplarzach podziemnej gazetki, młodym ludziom złamano życie, skazano ich do dziesięciu lat więzienia. Wiarygodność obrazu Andrzeja Szomańskiego, który tak ochoczo chce współpracować z SB i informować o tym, że redaktor Wagner jest miłośnikiem Edwarda Gierka, jest moim zdaniem zerowa.

Bezpieka uważa Szomańskiego za cenne źródło informacji. Pojawiają się informacje, że jest sowiec wynagradzany. Z zapisów SB wynika, że TW „Historyk” może kontrolować operacyjnie Leszka Moczulskiego. Jeśli tak, to w zachowanych przecież aktach Moczulskiego powinniśmy znaleźć wiele donosów tego agenta. Nie ma nic.

W lipcu 1976 roku pojawia się w aktach informacja (po doniesieniu z Krakowa od TW „Marcina”), że Szomański spotyka się z Leszkiem Moczulskim. Oficer prowadzący odpytuje go w tej sprawie. Szomański wyjaśnia, że zna go z pracy dziennikarskiej, że utrzymują bardzo sporadyczne kontakty towarzyskie.

Bezpieka zaczyna się orientować, że informacje TW „Historyka” nie są wyczerpujące, jak to delikatnie określają.

Oficer odnotowuje, że „Historyk” nie przekazał informacji dotyczących swojej rozmowy z Moczulskim i z TW „Marcinem” podczas pogrzebu generała Abrahama. Szomański potem się tłumaczy, że na pogrzebie generała był służbowo, w związku z pracą redakcyjną, natomiast nie bardzo potrafi wytłumaczyć, dlaczego nie doniósł o spotkaniu, o rozmowach. Tam pojawia się informacja, że dyskusja dotyczyła dokumentu o charakterze opozycyjnym, który sporządził Moczulski. Chodzi zapewne o „Memoriał”. Esbecy odnotowują to już jako poważną niełojalność. W kolejnych notatkach oficer prowadzący wyraża coraz większe zaniepokojenie postawą TW. Co więcej, w SB budzą się obawy, że Szomański gra na rzecz drugiej strony. „Bardzo pewny siebie” – to podkreśla SB wielokrotnie – wypytuje o różne sprawy oficera prowadzącego. Na przykład na temat planów polityki władz wobec KOR-u. Pyta o to, jakie mają zamiar podjąć kroki wobec korowców i czy dojdzie do represji. Pytany, czy w swoim środowisku widzi jakichś ludzi mogących prowadzić działalność wrogą wobec systemu, odpowiada że nie, nikogo takiego nie widzi.

Kiedy stałe kontakty Szomańskiego z Moczulskim przestały być tajemnicą, esbek bardzo wyraźnie odnotowuje, że Szomański zmienia front – mówi dużo o Moczulskim. Są to opinie, i to same superlatywy. Wypytywany przez esbeka, opowiada, że Moczulski nie jest inspirowany z Zachodu, że KOR to nie inspiracje zachodnie, wrogie, a działalność Moczulskiego wynika z troski o dobro wspólne, z jego głębokich przemyśleń. Tak jakby starał się ocieplać wizerunek Moczulskiego. Tłumaczy, że władze nie powinny go tak zwalczać, bo on chce dobrze dla Polski. Że niekoniecznie podziela jego poglądy, że Moczulski może się mylić, ale chce dobrze.

Wiosną 1977 oficer odnotowuje, że Szomański ma poważne problemy osobiste, także finansowe, i bardzo się boi zwolnienia z pracy. SB postanawia tym grać.

W kwietniu 1977 powstaje raport na temat TW „Historyka” i ocena jego działalności. SB nie ma złudzeń: „Działalność w ruchu nn utrzymuje przed nami w tajemnicy”, jest pod silnym wpływem Moczulskiego.

Kolejne spotkanie zostaje wyznaczone w hotelu Forum. Najprawdopodobniej w wydzielonej, esbeckiej części obiektu. Szomański ma zapowiedziane, że weźmie w tym spotkaniu udział nie tylko oficer prowadzący, ale też zastępca naczelnika Wydziału II Departamentu IV MSW, podpułkownik Ciupiński. Ten wysoko postawiony w hierarchii MSW oficer, bierze udział w całej serii kolejnych spotkań agenturalnych z Szomańskim. Za każdym razem zjawiają się we dwóch: oficer prowadzący i podpułkownik SB. W dokumentach SB podkreśla, że Szomański ochoczo się na to zgadza. W rozmowie z oficerami, „Historyk” lekko dystansuje się do programu nurtu niepodległościowego, mówi, że to są jego kontakty towarzyskie, koleżeńskie, że niekoniecznie podziela ten program, ale nie odcina się zdecydowanie od niego. I cały czas przekonuje esbeków do Moczulskiego. Mówi otwarcie, że Moczulski walczy o uniezależnienie Polski od ZSRR i że ma w tym poparcie jakiejś nieformalnej frakcji PZPR. To jest ciekawe zagranie. Wydaje się, że chce chronić Moczulskiego, mówiąc esbekom: – Nie róbcie mu krzywdy, nie róbcie mu nic, bo to jest facet, który ma jakieś umocowanie w KC, a nie wiadomo, jak się historia potoczy.

W tych rozmowach pada kilkakrotnie nazwisko Zbigniewa Załuskiego (członka władz PZPR, z którym rzeczywiście Moczulski miał wówczas kontakt), ale nie wskazuje się wprost, że on jest tym kontaktem z „górami”.

Cały czas w zapiskach esbecy podkreślają, że Szomański zachowuje się bardzo swobodnie, że nie widać po nim strachu. Na konkretną propozycję SB wejścia głębiej w ruch Nurtu Niepodległościowego, udzielił odpowiedzi pozytywnej. Potwierdził, że będzie ich źródłem informacji, ale pod warunkiem braku represji wobec niego.

W maju 1977, podczas kolejnego spotkania z oficerami SB, Szomański przechodzi do ofensywy. Wyraźnie domaga się, żeby sformułować precyzyjne zadania dla niego, mówi, że może się włączyć w działania ROPCiO (czego oczekuje SB), a jego rola w Ruchu zależy od władzy, od tego jaką politykę będzie ta władza prowadzić.

Mówi, że są możliwe trzy warianty: władze chcą doprowadzić do likwidacji ROPCiO, czyli do siłowego rozwiązania, drugi – do samolikwidacji poprzez agenturę wprowadzaną do organizacji, i trzeci – do stymulowania działalności ROPCiO w dogodnym dla władz kierunku. Pyta, w jakim kierunku władze chcą pójść. Bo jeśli ma działać efektywnie, to musi wiedzieć, jakie dokładnie są cele władz.

Oświadcza, że na razie nie będzie wypytywał Moczulskiego o szczegóły jego działalności, dopóki nie będzie wiedział, jaki wariant wobec ROPCiO przyjmą władze. Esbek zapisał: „Zadał szereg pytań mających na celu wysondowanie planów władz w stosunku do ROPCiO. Ze spotkania z Moczulskim przekazał nam tylko ogólnie znane, nic nie wnoszące do sprawy informacje. Fragmentaryczność przekazywanych przez niego informacji w dużej części pokrywa się z dezinformacją. Szczerości z jego strony nie ma. Mamy na to dowody”.

Z notatek wynika, że do tego czasu Szomański za spotkanie dostawał tysiąc złotych, w maju 1977 to już dwa tysiące, a później stawka dochodzi do trzech tysięcy.

Można chyba stwierdzić na podstawie tych akt, że są to najgorzej zainwestowane pieniądze MSW. A były to niemałe kwoty. Trzy tysiące złotych to była pensja.

W pewnym momencie pojawia się nazwisko Romualda Szeremietiewa. Esbecy wypytują o kontakty Szeremietiewa z Moczulskim. Szomański odpowiada, że nieznane są mu te powiązania, że nic nie wie o związkach Szeremietiewa z NN.

Z zapisów SB wynika, że Szomański tłumaczy pułkownikowi Ciupińskiemu, że represje wobec opozycji są nieskuteczne, niepotrzebne, mogące zaszkodzić PRL na arenie międzynarodowej. Mówi, że lepiej się jakoś dogadać, niż stosować represje. Godzi się na napisanie opracowania na ten temat. Nie wiemy, czy ono powstało, bo nie ma go w ak-

tach. Esbek, przyjmując tę deklarację odnotowuje, że to będzie stanowisko nie tylko Szomańskiego, ale całego kręgu NN. Z obu stron jest jasna sytuacja. Esbecy traktują go jako reprezentanta środowiska. Mają oczywiście potwierdzone przez różne źródła informacje, że on w tym środowisku aktywnie działa. W pewnym momencie oficerowie SB przekazują nawet Szomańskiemu pytania do Moczulskiego. To oczywiście nie są pytania, gdzie jest powielacz i kto drukuje. Mowa o polityce, o sytuacji międzynarodowej. Szomański w tej dyskusji mówi, że towarzysz Gierek też jest przeciwny zaciskaniu śruby. Że trzeba się dogadać, że sytuacja międzynarodowa... Te informacje trzeba łączyć z równoczesnym przekonaniem SB o kontaktach Moczulskiego z ludźmi z KC PZPR.

Z notatek wynika, że spotkania Szomańskiego z oficerami SB, to były długie, wielogodzinne dyskusje. Nie przekazywanie raportów agenturalnych, tylko dyskusje. Oczywiście pojawiają się w nich też informacje przekazywane przez Szomańskiego, ale na przykład takie, że tydzień wcześniej odbyła się konferencja prasowa ROPCiO dla dziennikarzy zachodnich i że mówiło o tym później Radio Wolna Europa. Żadnych informacji wyprzedzających, żadnych charakterystyk ludzi z opozycji. To mogę z pełną stanowczością powiedzieć.

I w tym samym niemal czasie w teczce TW pojawia się wpis zupełnie niezrozumiały: „przygotowujemy koncepcję do pozyskania jego do rozpracowania czołowych działaczy ROPCiO”. I zwierzchnik, jakiś tam pułkownik czy generał pisze „Zgoda!” z wykrzyknikiem, „realizować!”. Czy to tylko rytualne, obowiązkowe zapisy?

Nie sposób rozstrzygnąć.

W pewnym momencie komplikuje się sytuacja rodzinna Szomańskiego. Odchodzi od niego żona z synem. W sierpniu 1977 esbek dołącza do teczki fragment doniesienia TW „Optymista” na temat Szomańskiego: „robi wrażenie człowieka psychicznie załamanego”. Łączy się to z innymi poważnymi problemami zdrowotnymi, w efekcie czego ląduje w szpitalu. Esbecy próbują tym grać. Wiedzą, że pieniądze, które mu przekazują, zwłaszcza po wyrzuceniu go z redakcji WTK, umożliwiają mu przeżycie.

W tym samym miesiącu kolejne spotkanie, tym razem w gabinecie Naczelnika Wydziału II Departamentu IV, prowadzone przez pułkownika Jankiewicza. Na wstępie naczelnik „charakteryzował sytuację wewnętrzną kraju”. TW „Historyk” zabrał głos na temat tej analizy i „uznał ją za wyjątkowo przekonującą”. W swoim wystąpieniu głosił głównie banały: „Moczulski planuje dalsze umacnianie ROPCiO i otwieranie kolejnych punktów informacyjnych”. Szomański zadeklarował też ścisłą współpracę z SB, domagał się przyjęcia do pracy oraz przekazania pieniędzy. Tak nie wyglądały spotkania oficera prowadzącego z donosicielem. To jakiś dziwny rodzaj kontaktów. Debat o sytuacji politycznej? Szomański informuje też SB, że Szeremietiew pyta go o to, jak można się skontaktować z Leszkiem Moczulskim. Jak wiemy z relacji ich obu, od 1973 roku Moczulski z Szeremietiewem mieli stały kontakt, więc to oczywista dezinformacja.

We wrześniu 1977 Szomański przekonuje SB o konieczności rozmów władz z Moczulskim na płaszczyźnie politycznej. „TW stwierdził, że Moczulski w gruncie rzeczy żałuje, że mu się rozmowy urwały”. To jest ciekawe w kontekście teczek TW „Lecha”. Jeśli Moczulski mówi do Szomańskiego: „Szkoda, że mi się urwały rozmowy z bezpieką”, to oznacza, że nie były one w tym kręgu tajemnicą. SB pisze jasno, że Szomański działa z polecenia Moczulskiego. I esbek każe Szomańskiemu wysondować, z jakiego rodzaju działalności Moczulski mógłby zrezygnować, na jakie ustępstwo pójść. W domyśle – w zamian za coś, na przykład w zamian za ograniczenie represji. Widać, że to próby dialogu.

Następuje cały szereg stałych spotkań, nic praktycznie niewnoszących do sprawy.

W sierpniu 1978 esbek odnotowuje: „Przyznał, że rzeczywiście uczestniczył w zjeździe ROPCiO w dniu 25 maja. Nie podjął żadnej próby tłumaczenia, dlaczego nie przekazał nam żadnych informacji o fakcie swego uczestnictwa w zjeździe”. Chodzi oczywiście nie o zjazd ROPCiO, tylko o spotkanie Nurtu Niepodległościowego u OO Palotynów w Warszawie. I ten esbecki zapis jest kluczową rzeczą w kontekście tego, co Andrzej Czuma oszczerczo opowiada o Szomańskim od kilkunastu lat. A mówił m.in. tak: „Andrzej Szomański został (...)

przylapano na potajemnym nagrywaniu naszych zebrań – dowiedzieliśmy się w ten sposób, że był agentem SB”. Ta demaskacja miała się odbyć właśnie podczas tego spotkania Nurtu, kiedy Czuma rzekomo nakrył Szomańskiego zmieniającego w toalecie kasetę w minifonie. Miał mieć w rękawie ukryty specjalny mały mikrofon. W papierach SB, w teczkę Szomańskiego, mamy czarno na białym, że ten w ogóle nie poinformował bezpieki o swoim udziale w zjeździe, o co bezpieka miała do niego pretensje. O żadnym nagrywaniu w ogóle nie było mowy.

Wersję Czumy powtarzał wielokrotnie w swoich pracach historyk IPN Grzegorz Waligóra. Dlaczego nie skonfrontował dzisiejszych opowieści Czumy z aktami SB? Dlaczego nie zajrzał do teczki Szomańskiego?

I wreszcie akta zamyka dokument z lutego 1979 sporej objętości – „Notatka na temat Andrzeja Szomańskiego”. Jest w niej napisane: „w październiku 1978 zdecydowanie odmówił współpracy na naszych zasadach”. Z dokumentu wyraźnie widać, że esbecy naciskali na Szomańskiego, żeby mieć jakieś konkretne efekty. On mówił, że może się nadal z nimi spotykać, może udzielać informacji ogólnych, natomiast żadnych informacji o miejscach spotkań, o uczestnikach opozycji, udzielał nie będzie. Po długim okresie tego typu spotkań i regularnego wypłacania pieniędzy esbecy uznali, że jest to współpraca pozorowana, mająca za cel wyciąganie od nich informacji.

Jak te akta agenturalne ocenić? Nie wiem, czy muszę cokolwiek dodawać poza powyższym opisem. Nie ma w nich żadnej informacji, która mogłaby grozić komukolwiek odpowiedzialnością, wystawiała kogokolwiek na represje. Co najwyżej te informacje mogły skutkować podwyżką i premią w wypadku towarzysza Wagnera, który wielbił Edwarda Gierka.

Na pewno te akta są bardzo niebezpieczne dla badaczy, bo przy poieżnej lekturze i nieznaomości kontekstu, łatwo uznać Andrzeja Szomańskiego za regularnie opłacanego tajnego współpracownika SB. A to jest obraz fałszywy.

DYSKUSJA

Grzegorz Wołk:

– Bardzo fajnie opowiadałeś o poszczególnych drzewach, ale brakowało mi tutaj opowieści o całym lesie. Dość dawno temu przeglądałem tę teczkę, więc popraw mnie, jeśli się mylę.

Podstawowa rzecz – Andrzej Szomański w okresie aktywności w KPN-ie był rozpracowywany przez SB. Była to sprawa, tylko dopisek, więcej się nie zachowało, ale wiadomo że była sprawa o kryptonimie „Suchy”. To jest ważne w tym kontekście.

Druga rzecz – Andrzej Czuma, magnetofon. To nie jest tak, że Andrzej Czuma mówi o tym teraz. Andrzej Czuma mówił to już w latach 70., w trakcie spotkania i po spotkaniu. Mówił to Pawłowi Mikołaszowi, wieloletniemu tajnemu współpracownikowi. On to doniósł bezpiece i ten raport się zachował. Stąd wiemy, że Andrzej Czuma wówczas o tym magnetofonie mówił. I to jest zagadka, o co chodziło z tym magnetofonem i z Szomańskim. Nie wiadomo, co tak naprawdę tam było...

Maciej Gawlikowski:

– I czy w ogóle ten magnetofon był!

Grzegorz Wołk:

– Można stwierdzić prawie z całkowitą pewnością, że tego nie nagrywano dla SB. Natomiast historia z magnetofonem jest. To, że Mikołasz o tym doniósł SB, akurat też jest ważne. Pamiętajmy, że współpraca Szomańskiego jest z inną komórką SB, niż komórki SB zajmującej się opozycją. Tu mówimy o pionie IV, który zajmował się związkami wy-

znaniowymi. Pion III rozpracowywał Ruch Obrony i szeroko rozumianą opozycję polityczną.

Nie ma żadnego śladu, żeby Szomański to robił na ich zlecenie. Moim zdaniem, to przecina wszelkie spekulacje, że Szomański to nagrywał na zlecenie SB. Sprawa magnetofonu wydaje mi się już obecnie nie do wyjaśnienia, natomiast jest dość istotna.

Tu padła kwestia pieniędzy. Z tego co pamiętam, wydawało mi się, że tam było mniej informacji o poborze tych pieniędzy. Nie ma tam ani jednego pokwitowania. Tateczka jest dość dziwna, jeżeli chodzi o schemat archiwizowanych teczek SB. Przede wszystkim – to też Maćku, moim zdaniem, powinienś zaznaczyć – tam bardzo płynne jest przejście w donosach z KTW (czyli co jest ważne, kandydata na tajnego współpracownika, co bardzo często było nieświadome), do TW „Historyk”. Nie ma w ogóle żadnego dokumentu opisującego, jak ten kontakt z esbekami się zaczął, jak w ogóle to się rozpoczęło, kiedy i gdzie i co tu się stało, że Szomański z funkcjonariuszami SB zaczął rozmawiać. Tego też już się zapewne nie dowiemy. Jest to ważne w kontekście moralno-etycznym, natomiast na poziomie historycznym to z lektury tych materiałów wynika jednoznacznie, że to był rodzaj gry podejmowanej z SB. I to nie jest tak, że esbecy byli idiotami. Z nim rozmawiali specjaliści od innych rzeczy, a jak wyszło, że on zna Moczulskiego, to zaczęto próbować z nim rozmawiać o opozycji. Jak on z kolei zaczął wypytywać – „Co wy chcecie zrobić z ROPCiO?”, no to mu szybko podziękowano. Z grubsza tak ta historia wygląda.

Tam jest dużo rzeczy do wyjaśnienia. Najbardziej sensacyjny, ten magnetofon, już nie zostanie wyjaśniony.

Maciej Gawlikowski:

– To jest tak, że właśnie wcale szybko mu nie podziękowano. To trwało dość długo przy pełnej świadomości z obu stron, że toczy się gra. I te rozmowy, bo to w ogóle nie są spotkania o charakterze agenturalnym, które prowadził wysoki rangą oficer MSW, w pewnym momencie odbywały się nawet w siedzibie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tak się nie odbywały spotkania oficera prowadzącego z TW.

Nie mówiłem o tym płynnym przejściu z KTW na TW, ponieważ to w ogóle od początku miało dziwny charakter.

To jest też tak, że nie znamy całości. To jest tylko część z tych teczek. Nie wiemy rzeczywiście, jak do tych kontaktów doszło. Ale znając tę resztę możemy śmiało powiedzieć, że to nie ma w ogóle żadnego znaczenia.

Kwestia „czwórki” (pionu IV). Tam była „czwórka”, ale w tych aktach jest w pewnym momencie wyraźnie powiedziane, że to się odbywa we współpracy z wydziałem trzecim (w formie adnotacji ręcznych, ja już nie pamiętam, ciężko to odczytać, tam jest problem taki, że często ciężko jest człowiekowi odczytać te gryzmoły) – od pewnego momentu wydaje mi się to w pełni koordynowane z „trójką”.

Co do magnetofonu, zgodziłbym się z tobą, Grzegorzu, tylko ja nie mam pewności, że Czuma mówi prawdę. Czy mówi prawdę teraz i czy mówił prawdę wtedy. Nie możemy zakładać, że ten magnetofon istniał i że Czuma faktycznie go widział. Przepraszam, Andrzej Czuma jest dla mnie osobą niewiarygodną. To był okres bardzo silnego sporu w Ruchu Obrony, bardzo silnej walki między grupą Czuma i grupą Moczulskiego. I w tej walce używano czasem chwytów poniżej pasa. Czy to nie było chwytem poniżej pasa ze strony Czuma, powiedzenie o tym magnetofonie, skoro wiemy teraz, że on nie nagrywał tego dla SB? Bo to możemy powiedzieć jasno – nie nagrywał tego dla SB. I SB w ogóle nie wiedziała, że on ma zamiar wziąć udział w tym zjeździe. To w takim razie jeszcze większy jest znak zapytania, czy Czuma mówił prawdę. A może mu się wydawało? A może to była paczka papierosów? Jest jedno psychologicznie niewiarygodne. Jesteśmy na tajnym zebraniu. Wychodzę do ubikacji. Widzę, że ktoś z nas, powiedzmy Mirek, manipuluje przy magnetofonie, zmienia taśmę. To po powrocie na salę zabieram głos i mówię – „Bardzo przepraszam, ale zanim zaczniemy dalej, ja bardzo proszę, aby kolega Mirek wyjął ten magnetofon, którym nas potajemnie nagrywał”.

Ireneusz Głazewski:

– Każdy z nas, kto by wyszedł do ubikacji, żeby zmienić taśmę, to by się zamknął. No ludzie...

Maciej Gawlikowski:

– Proste wyjaśnienia są czasem najlepsze. To prawda. Da się zmienić taśmę w magnetofonie, w minifonie, zamykając się wcześniej w sraczu. I całą koncepcję Czumy możemy o kant potłuc...

Mirosław Lewandowski:

– W tego typu sprawach, gdzie trudno o jasność, brak źródeł, gdzie poruszamy się właściwie w sferze cienia, kluczowym argumentem jest argument następstwa zdarzeń. Kto kim był? Jak się zachowywał? Jakie miał rzeczywiste intencje i w co grał? – Możemy o tym się dowiedzieć, jeżeli zaobserwujemy to, co on robił później. A tu akurat o tym, co robił Andrzej Szomański później mamy dużo więcej źródeł i dużo więcej możemy dowiedzieć się od ludzi, którzy Andrzeja bezpośrednio znali. Bardzo proszę.

ANDRZEJ SZOMAŃSKI (1930-1987) W MOJEJ PAMIĘCI

1. Spotkanie z Andrzejem Szomańskim w 1984 roku.

Początek tej historii to jesień 1984 roku. Wtedy jako nastolatek poznałem Andrzeja Szomańskiego, ale niestety nie pamiętam, kiedy dokładnie to się stało i jak do tego spotkania doszło. Prawdopodobnie było to w jego mieszkaniu przy ul. Tamka w Warszawie. Trochę jak przez mgłę przypominam sobie stosy książek historycznych, zdjęcia Marszałka i inne rzeczy, które rozpały wyobraźnię nastolatka.





Fot. 1

Przekonanie, że to było jesienią 1984 roku bierze się z faktu, że już w grudniu 1984 uczestniczyłem jako uczeń I klasy liceum w spotkaniu z Leszkiem Moczulskim przy ówczesnej ulicy Mizerkiewicza (dziś Wojciechowskiego) w Warszawie. Andrzeja tam nie było, ale właśnie on za pośrednictwem moich rodziców – działaczy opozycji z Ursusa – zorganizował to spotkanie. Leszek Moczulski przyjechał wtedy w towarzystwie Grzegorza Rossy, o którym mówiono, że jest kimś w rodzaju ochroniarza przewodniczącego KPN.

Jak takie spotkania wyglądały? Raczej nie robiono zdjęć, ewentualnie rejestrowano na magnetofonie (mam takie nagranie z jesieni 1986). Fotografia nr 1 pochodzi z 1989 roku. Pokazuje ona, jak to mogło wyglądać.

2. KPN rusza do ofensywy

Andrzej wyszedł z więzienia pod koniec sierpnia 1986 roku. Wtedy przebywałem poza Warszawą i jako świeżo upieczony uczestnik Marszu Szlakiem I Kompanii Kadrowej, jak szalony indoktrynowałem uczestników obozu PTTK w Zieleńcu koło Kudowy Zdroju.

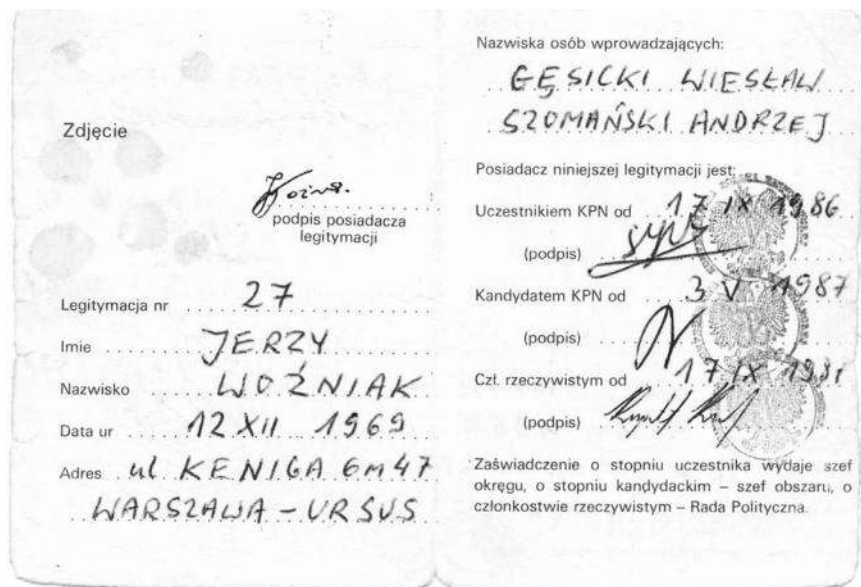
Po powrocie do domu spotkała mnie miła niespodzianka w postaci listu i kartki z Marszałkiem, na odwrocie której była taka dedykacja



Fot. 2

(fot. 2). Andrzej przebywał wtedy u zaprzyjaźnionych górali w Małym Cichym na rekonwalescencji po więzieniu i na pierwsze „powiezione” spotkanie trzeba było trochę czasu poczekać.

W międzyczasie wstąpiłem „nielegalnie” do KPN-u, ponieważ nie miałem 18 lat. Jednak „po znajomości” złożyłem na ręce Wieska Gęsickiego przysięgę przy pomniku Bitwy Warszawskiej na warszawskim cmentarzu powązkowskim. Okazało



Fot. 3

się, że był to pewnego rodzaju falstart, ponieważ za tydzień lub dwa Andrzej przyjął raczej chłodno mój meldunek o tym zdarzeniu. Jednak wszystko zaakceptował i dostałem legitymację KPN (fot. 3).

Potem ruszyło, jak to się potocznie mówi, z kopyta w związku z koncepcją Leszka Moczulskiego stopniowego przechodzenia do działalności jawnej przez KPN. Andrzej na nowo kierował pracami Obszaru Centralnego i prowadził działalność polityczną. W ten nurt włączyć się musiała jak najszybciej nasza grupa, która formalnie rozpoczęła we wrześniu działalność jako grupa afiliowana przy KPN pod nazwą Świt Niepodległości.

Mieliśmy zawsze wsparcie u Andrzeja. Był dla nas autorytetem moralnym, bohaterem opozycji niepodległościowej, a jednocześnie kimś, kto był w pewnym sensie dobrym znajomym a nawet starszym kolegą (fot. 4). Wykłady z historii najnowszej, wspólne wypadki do miejsc związanych z pamięcią o podziemiu zbrojnym z lat powojennych, uroczystości patriotyczne, demonstracja 11 listopada. To tylko tyle, ile udało mi się zatrzymać w pamięci z tego okresu.

3. Moja deklaracja

Dlaczego dziecko znalazło się w gronie dorosłych, debatujących o sprawach poważnych i co tu dużo mówić, niebezpiecznych? Stało się to dzięki mojemu środowisku rodzinnemu (ojciec – więzień, podziemna „S”).

Rodzice poznali Andrzeja Szomańskiego na spotkaniu towarzyskim w mieszkaniu działacza „S”, internowanego w stanie wojennym, któ-



Fot. 4

rego mój ojciec znał od 1980 roku z Zakładów Mechanicznych „Ursus”. Mama, znając moje „zainteresowania”, podobno powiedziała do Andrzeja – „Mój syn byłby wniebowzięty, gdyby mógł pana poznać”.

Z racji działalności moich rodziców miałem bieżący i permanentny dostęp do wszystkich możliwych rodzajów bibuły. Wiedziałem, że istnieje oprócz „S” organizacja NZS, ale najbardziej rozpałała moją wyobraźnię nazwa KPN. Kim są ci ludzie? Kto to jest Leszek Moczulski? I jeszcze symbole – orzeł w koronie, Polska Walcząca i przede wszystkim Marszałek! „Solidarność” tego nie miała albo miała bardzo mało. W gazetkach Tygodnika Mazowsze, Wola pisali o łamaniu praw człowieka, więźniach politycznych, konwencjach praw człowieka, ale o Niepodległości niewiele albo wcale. Tak więc dotarcie bezpośrednie do kogoś z „góry” KPN było dla mnie wielkim przeżyciem.

Oczywiście natychmiast zgłosiłem Andrzejowi chęć udziału w działalności KPN, ale mój zapal został prędko ostudzony, ponieważ – jak oświadczył – do Konfederacji przyjmowani są tylko pełnoletni. Być może, widząc moje rozpalone źrenice powiedział, że być może uda się jakoś mnie zagospodarować, a na pocieszenie dostałem literaturę podziemną i propozycję kolejnego spotkania. Było to inspiracją do tworenia w środowisku młodzieży z Ursusa i z mojej szkoły na Żoliborzu nieformalnej grupy, z której wyrosła dwa lata później grupa afiliowana przy KPN „Świt Niepodległości”.

4. Spotkanie, do którego nie doszło

Wczesną wiosną 1985 roku Andrzej zakomunikował mi, że jest możliwe spotkanie z przewodniczącym KPN Leszkiem Moczulskim, które miało w jakimś stopniu uporządkować udział „małolatów” w działaniach KPN. Było nas kilkunastu chłopaków w wieku 16–17 lat, którzy kolportowali bibułę, kleili po osiedlowych klatkach schodowych ulotki, uczestniczyli w tzw. zadymach z okazji 1 czy 3 maja. Widocznie Andrzej uważał, że lepiej to w jakiś sposób kontrolować i w razie potrzeby „spuścić ciśnienie” z młodzieńczych głów. Zresztą podkreślał, że najważniejsza jest nauka a nie zabawa w konspirację. Z drugiej strony wiedział doskonale, że takie argumenty dla nastolatków natchnio-

nych wielkimi ideami trafiają jak przysłowiowy groch o ścianę. Tak więc wspólnie z samym przewodniczącym KPN postanowił zaprowadzić jakiś ład w naszym środowisku.

Spotkanie miało być zorganizowane w Ursusie w moim rodzinnym domu. Mama upiekła ciasto i przygotowała kanapki. Siedzieliśmy po turecku na dywanie w oczekiwaniu na godzinę 19. Było to w sobotę 9 marca 1985 roku. Po pół godziny oczekiwania ktoś włączył czarno-biały telewizor marki „Neptun”. Po kilku minutach zrozumieliśmy, że do planowanego spotkania na pewno nie dojdzie. W Warszawie w trakcie posiedzenia Rady Politycznej KPN aresztowano: Leszka Moczulskiego, Krzysztofa Króla, Adama Słomkę, Andrzeja Szomańskiego, Dariusza Wójcika oraz Zygmunta Łenyka, Grzegorza Roszę, Wojciecha Pęgiela i Piotra Węgieńskiego.

5. Więzień polityczny Andrzej Szomański

Dzięki Andrzejowi poznałem dwudziestopięcioletniego działacza KPN z Warszawy Wiesława Gęsińskiego. Nie miałem pojęcia, że ten wówczas starszy kolega zostanie później prywatnie jednym z moich najważniejszych przyjaciół, a co jeszcze bardziej mogło wydawać się nieprawdopodobne, szwagrem (fot. 5).

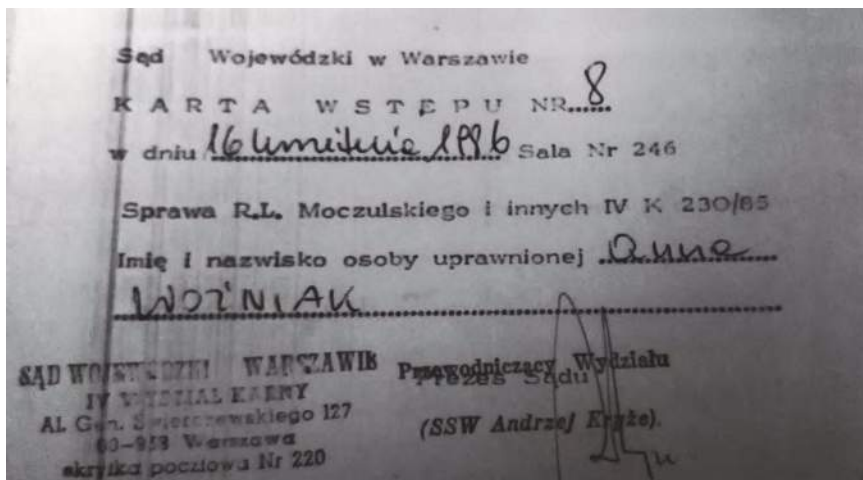


Fot. 5



Fot. 6

Wiesiek Gęsicki przedstawił się jako jeden z działaczy KPN w stolicy, który na czas uwięzienia liderów Konfederacji koordynuje pracami i działalnością organizacji. Był blisko związany z Andrzejem. Spotkaliśmy się w mieszkaniu Pana Andrzeja w obecności jego żony Barbary (fot. 6). Wiesiek zalecił mi konsolidację naszej grupy i przestrzeganie zasad konspiracji. Pokazał jak działa powielacz białkowy i jak produkowane są ulotki.



Fot. 7

Uznałem, że nie można inaczej, jak tylko możliwie prędko z tego skorzystać. Postanowiliśmy wydawać swoje pismo pod nazwą Świt Niepodległości. Do grupy przystąpili moi koledzy ze szkoły i z innych środowisk warszawskich szkół średnich. Byli to m.in.: S. Gąsior, R. Małek, G. Więcek, T. Andrzejewski, A. Katana, P. Kowalski, W. Włodarczyk, M. Wójcik i wiele innych osób.

W międzyczasie był proces polityczny liderów KPN. Mama uczestniczyła w procesie, podając się za osobę z rodziny Andrzeja i dlatego miała możliwość zasiadania w ławie dla publiczności w gmachu Sądu Wojewódzkiego w Warszawie (fot. 7). Oczywiście ja również tam przyszedłem, ale bez szans na wejście na salę. Zajmowałem wcześniej upatrzone stanowisko na II albo III piętrze i starałem się wyczekać chwili, kiedy konwój z więźniami wjedzie na dziedziniec sądu. Widocznie miał jak zwykle rację Józef Piłsudski, który napisał rozprawę o psychologii więźnia, gdzie stwierdził, że ludzie ci widzą i słyszą o wiele więcej niż ci na wolności. Pan Andrzej dostrzegł szybko moją sylwetkę w oknie i podniósł dłonie skute w kajdanki, usiłując przekazać mi jakiś gest pozdrowienia.

Do ważnych przeżyć należało również wspólne z żoną Andrzeja wożenie paczek do więzienia przy ul. Rakowieckiej, zamówienie mszy w niedzielę wielkanocną w Podkowie Leśnej w intencji uwięzionych liderów KPN u ks. Kantorskiego (który uznał mnie i kolegę za prowokatorów) i pisanie do więzienia listów do Andrzeja. Były to listy bardzo infantylne, w których na swój sposób próbowałem przemycić to, co uważałem za ważne. Cenzura więzienna zapewne uznała to za nieszkodliwe głupoty i listy docierały do adresata (fot. 8).

6. Wiosna 1987

W tym czasie KPN należała, obok struktur podziemnej „Solidarności”, do najbardziej zorganizowanego środowiska opozycji antykomunistycznej w Warszawie. „Gazeta Polska” i „Droga” wychodziły z coraz bardziej regularną częstotliwością. Działały punkty kolportażu praktycznie w każdej dzielnicy. Kapeenowska bibuła, papeteria i inne – jak byśmy dziś powiedzieli – gadzety z powodzeniem konkurowały z podziemnym rynkiem wydawniczym „S”.

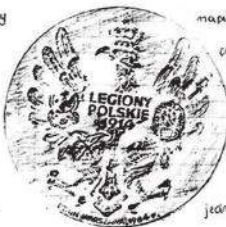
Była w tym spora zasługa Andrzeja Szomańskiego, który pomimo coraz większych kłopotów ze zdrowiem pracował na pełnych obrotach. Przerwą był pobyt w szpitalu w Konstancinie-Jeziornie, gdzie dwukrotnie go odwiedziłem.

W kwietniu 1987 roku Andrzej zarządził „przeгляд” naszej grupy, do której należeli uczniowie szkół średnich m.in z LO z Ursusa, Technikum im. Kasprzaka, XIX LO na Pradze, Liceum Medycznego w Pruszkowie, Liceum Księgarskiego im. Żeromskiego. Wydaliśmy już kilka numerów

открытием 19. 5. 86

Kochamy Panię Andrzeju!

Na naszym występie serdecznie Pana powitaniem i wyrazami szacunku
chyć o wiele lepszym 1988 roku. Stwierdzam, że w czasie gdyś a także
występy Pana zginęły pamięć o Panu i o wydarzeniach, których na-
stąpiły występy wielki nadziei, że będzie Światowidownia spóźni Pan
i nie ma występy w najlepszym porządku. Pożegnaniem wyrażam w do-
wierzam Bogom ma nadzieję (czyżbyś nie porzucił zadowolony). Jestem miły
w prezencie na kas. gwiazdki. numerem 1, a zarazem reprezentantem był mi-
z okazji Dziękujęci Niepodległości. Jak pojąć dowiedzieliśmy się znowu on-
tu jedynie 1000 zł. Co do autentyczności nie ma żadnej wątpliwości ponieważ
faktowa - zbitka. Drugim prezentem był medal wyznaczony w Warszawie 1989. z
wtedy rocznicy 11 listopada. Już tak można mieć też w warszawskiej Józef
cibieście właśnie tutaj na tej kartce. Rewers jest znacząco efektywniejszy, gdyż
a miedzi, wosku którego jest występy
Iz strony medalu ciążą właśnie
w formie nie straconego. Tak
Ciebie, prezentem, który dostaniem była
legion. Ruchem Instytut Wydawniczy
"Carmel", który autorem jest Narewicz.
robinie z X tomasz Pion zborowicz...



Fot. 8



Fot. 9

naszego pisma (fot. 9), album ze zdjęciami z wojny polsko-bolszewickiej, uczestniczyliśmy we wszystkich planowych działaniach KPN (akcje ulotkowe, wywieszania transparentów w mieście – fot. 10). Miejsce zbiórki wybrał Andrzej. Było to ustronne a zarazem istotne ideowo dla nas miejsce związane z Józefem Piłsudskim i POW. W tym miejscu



Fot. 10



Fot. 11

wiosną 1917 roku brygadier Piłsudski odbył przegląd oddziałów POW. Po odśpiewaniu Marszu I Brygady i rytualnym spaleniu czerwonej flagi (fot. 11) Andrzej przedstawił bieżącą sytuację polityczną i omówił kierunki działania zatwierdzone przez CKAB KPN. Był również krótki wykład historyczny i na koniec pamiątkowa fotografia (fot. 12).

Również wiosną 1987 roku miał miejsce wyjazd Leszka Moczulskiego na operację do Wielkiej Brytanii i do USA. Powrót nastąpił w maju 1987 roku. Andrzej postanowił zorganizować powitanie na lotnisku Okęcie. W tym celu warszawscy działacze KPN mieli się zebrać w hali przylotów. Był to również okres przygotowań do wizyty papieskiej w czerwcu 1987 roku. Dostałem w tej sprawie informację na kartce papieru, którą miałem niezwłocznie po otrzymaniu zniszczyć. Tak się nie stało i papierek znalazłem po latach między kartkami jakiejś książki. Jest teraz pamiątką (fot. 13).

W czerwcu doszło również do spotkania w mieszkaniu pułkownika Kazimierza Rosena-Zawadzkiego. Kombatant I i II wojny światowej był kontrowersyjną postacią historyczną z armii Berlinga, który po przejściach więziennych z lat 50. zmienił front i mimo podeszłego wieku postanowił pomagać ludziom opozycji. Do mieszkania pułkownika



Fot. 12

Jurek,
 1. - L.M. ma pmylenie 5. VI.
 (piątek) ok 15 -ej samolotem
 bmytyśłami (dokładny czas
 pmyłom sprawdzimy).
 2. - Jutro między 18 a 19 ma
 ktoś od was pmyśić do biblioteki
 parafialnej św. Trójcy / Sołec 61
 do KK po odbiór "S." (1000 egz.)
 z hasłem "już swita".
 3. - Za parę dni bsdg blazki
 z pscem św. do rozprawadzenia
 oraz was (500 kompletów).
 - Moza św. z okazji po powrocie
 L.M. odwiedzić się w kościele
 jak w p. 2) 6. VI o g. 19 (godzin
 może ulec korekturze. →

S. Rozliczenie:
 Katyn - $10 \times 30 = 300$
 AK-Busławie - $2 \times 200 = 40$
 AK-Lwów - $3 \times 150 = 45$
 Dokumenty - $10 \times 200 = 2000$
 R.P. - $10 \times 150 = 1500$
 razem = 7350
 Jeżeli nie moższ
 całosci - przynajmniej
 większość czści.
 O. Stawek wiedz
 adnie do mnie w
 orek ok. 15 -ej
 P.S. Kartkę przyniesie z

Fot. 13

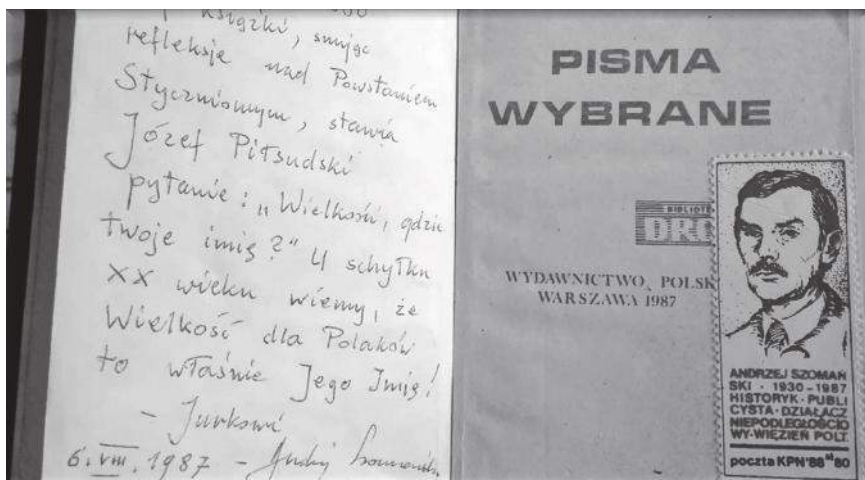
wprowadził nas Andrzej. Było to doskonale zlokalizowane mieszkanie przy ul. Wąski Dunaj na Starym Mieście w Warszawie. Tam zorganizowaliśmy punkt kolportażu, a nawet prowizoryczną drukarnię. Punkt miał wielką zaletę, ponieważ można było w nim przechowywać kije do transparentów, które były niezbędne w takich dniach jak 3 maja czy 11 listopada. Andrzej przyjaźnił się z pułkownikiem, chociaż nie stroił wobec niego od małych złośliwości. Tytułował go niby przypadkiem kapitanem, ponieważ był to stopień oficerski nadany Rosenowi w II RP. Stopień pułkownika to był awans przyznany przez komunistów. Sędziwy pan mocno się wtedy denerwował nie akceptując „degradacji” Andrzeja. W mieszkaniu Rosena spotykali się liderzy KPN: Leszek Moczulski, Andrzej Szomański, Krzysztof Król. Nam – czyli naszej grupie młodzieżowej, w jakimś sensie przypadła rola administratorów tego lokalu.

7. Ochotnica Górna lipiec 1987

Dorośla część warszawskiej KPN postanowiła zorganizować pod koniec czerwca 1987 roku wyjazd w teren, do miejsca związanego historycznie z walkami partyzantów podziemia antykomunistycznego w Gorcach. Celem było upamiętnienie majora Ognia – legendy Podhala, którego wyrazem była likwidacja płyty pamiątkowej ku czci poległych ubeków usytuowanej wzdłuż drogi na Turbacz, w okolicach osady Jaszcze. Uczestnicy tego „projektu” to m.in Maciej Gawlikowski, Wiesław Gęsicki, Bogusław Dziatko, Jarosława Maćkowiak, Sławomir Gąsior, Robert Małłek i ja. Dołączył do nas Andrzej. Nikt nie przypuszczał, że dla kilkorga z nas było to swojego rodzaju pożegnanie. Andrzej nie miał raczej dobrego głosu, ale pamiętam jakby to było dziś, kiedy śpiewał solo: „Już dopala się ogień biwaku ponad rosą...”. Później odczytałem tę partyzancką piosenkę bardzo symbolicznie, jako taki rodzaj pożegnania.

8. 1 sierpnia, cmentarz powązkowski

Andrzeja po raz ostatni oficjalnie spotkałem na Powązkach 1 sierpnia 1987 roku. Szedł na czele delegacji władz KPN pod pomnik Gloria



Fot. 14

Victis. Potem wręczył mi na pamiątkę wybór pism Józefa Piłsudskiego, wydany przez Wydawnictwo Polskie w drugim obiegu. Oto wpis (fot. 14). Na tym spotkaniu, jak sięgam pamięcią, padał rześisty deszcz. Nie mogłem przypuszczać, że za niecałe dwa miesiące będzie mi dane nieść w tym samym miejscu trumnę.

Widzieliśmy się na pewno do tego smutnego dnia jeszcze kilkakrotnie, jak to się mówi – na „roboczo”.

Chyba na kilka dni przed śmiercią wśród słabo oświetlonych i pożółkłych od liści uliczek Powiśla powiedział, że idzie na ulicę Jaracza do przewodniczącego KPN w celu zaaranżowania wywiadu, który miał przeprowadzić pan J.D. z WGU z okazji zbliżającego się święta Niepodległości. Była to ostatnia praca, którą wykonał dla sprawy.

Pogrzeb odbył się w Warszawie i zgromadził mnóstwo działaczy opozycji z całego kraju. Obecni byli m.in Wojciech Ziemiński, Seweryn Jaworski, ojciec Eustachy Rakoczy z Jasnej Góry, Leszek Moczulski, Zbigniew Kędzierski, delegacje KPN z Krakowa, Katowic, Łodzi.

Po śmierci Andrzeja nasza grupa przyjęła Jego imię, co widoczne było na kolejnych wydaniach naszej gazety.



dn.29 X 1987 zmarł w wieku 57 lat

ANDRZEJ SZOMAŃSKI

**historyk, publicysta, działacz niepodległości,
żołnierz Powstania Warszawskiego, członek ZHP, więzień polityczny w l.1950-55
i 1985-86, współzałożyciel K.P.N. i Komitetu Katyńskiego.**

**Odszedł nagle w pełni sił twórczych, na posterunku pracy niepodległo-
ściowej. Pogrzeb odbędzie się dn.5 XI na d.Cmentarzu Wojskowym, po
Mszy św. w kościele św.Karola Boromeusza, odprawionej o godz.14 -ej**

przyjaciele z K. P.N.

przy kościele będzie autokar







Rok później w I rocznicę śmierci kolejni młodzi działacze ŚN złożyli przysięgę nad grobem Andrzeja wstępując do Konfederacji.

MODLITWA ZA ANDRZEJA SZOMAŃSKIEGO

Mirosław Lewandowski:

– Wierzę, że Andrzej jest tutaj dzisiaj z nami i cieszy się, że tu – w budynku PAST-y – dziś zebraliśmy się, aby o nim porozmawiać.

Myślę, że to nasze spotkanie ma charakter nie tylko historyczny czy naukowy, ale też ma charakter osobisty. Wielu z nas obecnych znało Andrzeja. Był dla nich nauczycielem czy przywódcą. Ja nigdy nie miałem okazji go spotkać...

Czy będzie niestosowne, jak poproszę, żebyśmy odmówili teraz modlitwę za Andrzeja?

Wszyscy wstają

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen
Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie
a światłość wiekuista niechaj mu świeci.
Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie
a światłość wiekuista niechaj mu świeci.
Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie
a światłość wiekuista niechaj mu świeci.
Niech spoczywa w pokoju wiecznym
Amen.

– Bardzo dziękuję.

– Jak Państwo na początku słyszeli, zostałem tu zaproszony jako nestor Ruchu. Pozwólcie mi zatem korzystać z prawa przysługującego wszystkim nestorom, to znaczy mylić daty, kielbasić fakty, przekręcać nazwiska. Dla nas przeszłość to jest seria błysków – twarzy, obrazów, zdarzeń, słów. Natomiast fakty już muszą sprawdzać historycy, dlatego że zdarzeń nie zapamiętuje się z datami. Zapamiętuje się właśnie z ludzkimi twarzami.



Jeśli chodzi o Andrzeja Szomańskiego, to pierwszy raz widziałem go nie wiedząc o tym. Było to na wystawie obrazów Witkacego, obraz z trzydziestego ósmego albo już nawet z początku trzydziestego dziewiątego roku. To jest portret chłopca. Ten chłopiec to był Andrzej Szomański, jeden z najpiękniejszych dzieciaków tamtych czasów. I myślę, że nie od rzeczy jest pamiętać, że Andrzej Szomański był potem również jednym z najprzystojniejszych mężczyzn w Warszawie. To ważne, bo jakoś odruchowo kojarzymy najwyższe wartości naszej kultury, piękno, dobro i prawdę, to budzi zaufanie, poza tym ma wymiar pragmatyczny, jeżeli chodzi o pozyskiwanie zwolenników, a zwłaszcza zwolenniczek. Pod tym względem Andrzej miał najlepsze wyniki w Konfederacji Polski Niepodległej. Do tego mówił jako dziennikarz piękną polszczyzną i to nadawało mu coś, co myślę jest dzisiaj już nieco zapomniane – charyzmę. Gdy dochodziło do jakiegoś spotkania, na którym było wielu liderów, nawet liderów KPN, nawet osoby jeszcze z kręgów akowskich, to jakoś tak się kończyło, że numerem pierwszym zostawał Andrzej. Pamiętam jak jeden z jego przyjaciół, zresztą za namową żony, w pewnym momencie zrezygnował ze wspólnego obchodzenia urodzin, z tego powodu, że były to urodziny dwóch bohaterów z tego samego dnia i roku, a jakoś się zamieniały w urodziny Andrzeja. Tak że myślę, że to też jest rzecz ważna, również dla dziejów KPN.

Więc jak powiedziałem: najpierw poznałem Andrzeja „z widzenia”, to znaczy z jego portretu. Osobiście zobaczyłem go, ale jeszcze nie nawiązaliśmy kontaktów na spotkaniu poświęconemu literaturze niepodległościowej zorganizowanym pod patronatem PAX-u. Chyba konkretnie poświęcone było poezji Powstania Listopadowego, ale trudno powiedzieć, bo nikt nie trzymał się tematu, poezję mało kto znał, a wszyscy znali się na polityce. To było dla mnie ważne spotkanie, ale nim o tym powiem, korzystam z prawa do dygresji i parę słów o PAX-ie. W moich oczach PAX był, i do dzisiaj pozostaje, instytucją bardzo niejednoznaczną. Między innymi ze względu na osobowość samego Piaseckiego. Trudno mi tego polityka oceniać, nigdy w życiu go osobiście nie poznałem, a jestem trochę fizjonomistą. Na ogół trudno mnie okłamać, chyba że jest to długoletni przyjaciel i do tego poeta.

PAX był z jednej strony instytucją chrześcijańską, miał wspierać Instytut Wydawniczy – to znaczy był po jasnej stronie mocy w walce z nihilizmem, materializmem i innymi formami barbarzyństwa, z drugiej jednak strony była to organizacja jakoś tam prorosyjska, z umocowaniem w Moskwie, ba, rywalizująca o względy Kremla. PZPR nienawidziła PAX-u, bo śmiertelnie się bała, że Moskwa ich odpuści, brzydki, głupi, nikt ich nie kocha, więc Moskwa odpuści PZPR i postawi na prorosyjskich katolików. Bo w PAX-ie przeważali dawni endecy, prorosyjscy jeszcze od przedwojnia, ale byli też akowcy, co od początku rodziło pewnego rodzaju napięcia.

Poznałem to środowisko w sposób zgoła przypadkowy, dlatego że przypadkiem wychowywałem się w Bytomiu, przypadkiem moim przyjacielem był Przemek Hniedziewicz, przyjaciel jeszcze z przedszkola, a potem jeszcze większy przyjaciel. Rywalizowaliśmy w Bytomiu w jeździe szybkiej na lodzie; jakie wtedy mieliśmy łyżwy, starsi pamiętają. A Przemek miał panczeny. Wyobraźcie sobie państwo, że wygrałem mistrzostwo Bytomia, a wtedy Przemek pożyczył mi swoje panczeny, żebym mógł wygrać już w skali Śląska, w Katowicach. A kiedy wygrałem – całkiem mi te panczeny podarował. Otóż Przemek został potem jednym z młodych liderów PAX-u, to PAX go znalazł, bo ojciec Przemka walczył pod Piaseckim na Wileńszczyźnie, tam zginął, a Piasecki odnalazł jego żonę z małym Przemkiem, jakoś tam im pomagał, a potem ściągnął Przemka do Warszawy. Przemek robił prawo, ja polonistykę, więc dalej mogliśmy się przyjaźnić. I właśnie Przemek zaprosił mnie na parę spotkań, reklamując, że będzie antypartyjnie, będzie antyrządziecko.

Przemek okazał się dobrym politykiem, tyle że niestety chorowitym. Razem z Ryszardem Reiffem po śmierci Piaseckiego, około 1979 z poślizgiem przejęli kierowanie PAX-em. Wcześniej Przemek stał na czele grupy młodych, która zastanawiała się, czy zbuntować się przeciw Piaseckiemu. Zbuntowała się część działaczy, ta dowodzona przez Romka Szeremietiewem i Tadzika Stańskiego. Romek był jednym z pierwszych działaczy podziemia niepodległościowego, już w 1975 robił tajne zjazdy w Lesznie, jeździłem tam w samochodziku Leszka

Moczulskiego, z małą tylko przesadą można powiedzieć, że tam wymyśliliśmy ROPCiO, Duszą tych spotkań był Romek, który już wcześniej zahaczył o „Ruch”. Przemek też zresztą był raz czy dwa. Ale prócz tego Przemek jeździł do Piaseckiego, do Zakopanego. Piasecki leczył się tam w sanatorium. Po dość dramatycznej rozmowie z Piaseckim, który przepowiadał w natchnieniu proroczym, że to wszystko – cytuję z podziwem – to wszystko musi pierdolnąć. Przemek doszedł do wniosku, że jednak, że skoro udało się zbudować instytucję, skoro są Zjednoczone Zespoły Gospodarcze, skoro jest wydawnictwo, to trzeba to wszystko trzymać i wykorzystywać. O tyle się sprawdziło, że w 1980 Reiff został szefem całego PAX-u a Przemek oddziału warszawskiego, więc najważniejszego. Przemek był absolutnie w porządku i później, najpierw jawnie a potem tajnie, działał dla podziemia, zresztą z PAX-u wyleciał razem z Reiffem. Reiff, jak starsi pamiętają, był jedynym członkiem Rady Państwa, który sprzeciwił się wprowadzeniu stanu wojennego. Przemek, mimo kłopotów zdrowotnych, po transformacji działał, był posłem z partii Porozumienie Centrum, organizował Ruch III RP Olszewskiego, ale zdrowie nie pozwalało mu rozwinąć skrzydeł.

Pytanie z sali:

– Co mu było!

Bohdan Urbankowski:

– Astma. Dla polityka, to przekleństwo. Chodził zawsze z takim aparacikiem... No, wracam do tematu, do osoby Andrzeja, jakby nie było współzałożyciela naszego, obecnie kwartalnika „Opinia”. Przepraszam za te dygresje, ale zarezerwowałem sobie do nich prawo.

Andrzej Szomański brał udział we wszystkich grach i podchodach politycznych, wtedy wyrwał się już z siideł bezpieki i nadrabiał, odrabiał ewentualne grzechy. Bezpieka zmieniła mu teczkę z „Historyk” na „Oszust”.

Jako historyk Andrzej poświęcał się dziejom niepodległości, używał często określenia „dzieje irredenty”, jakby się tego wciąż uczył, żeby potem uczyć nas, młodszych. Pasjonował się także kulturą niepodleg-

łości, pieśniami niepodległościowymi, dziełami literackimi na ten temat. I to spotkanie, które ja zapamiętałem jako pierwsze osobiste spotkanie z nim, to było spotkanie nieoficjalne, w Klubie Pietrzaka, na które wprowadził mnie Przemek. Jak powiedziałem, poświęcone było poezji niepodległościowej, niby poezji Powstania Listopadowego, ale w rzeczywistości chodziło o wielki spór, czy powstanie miało szanse i czy teraz jakaś działalność niepodległościowa ma szanse. Andrzej chyba jeszcze przed docentem Łojkiem głosił opinię, że miało. To wywołało dyskusję. Aliści dyskusja nie była też wolna od pewnego momentu politycznego. Mianowicie ktoś stwierdził, że skoro Andrzej tu działa, w Pietrzaku występuje, to dlaczego on się nie zapisuje do PAX-u. I Andrzej powiedział coś, co dla mnie było ważne i co czasem sam powtarzałem. Że do instytucji zapisuje się nie tylko dziś. Że wstępuje się do instytucji, która ma swoją przeszłość, swoich działaczy, także i trupy w swoich szafach. I że z tego względu nie mógł, a w Pietrzaku jest nie dla PAX-u, tylko dla nas i jak nie chcemy to sobie pójdzie, taki był!

Jak to wszystko pogodzić z jego rozmowami z esbecją, a nazywając już po imieniu, donosami? Myślę, że tutaj się nałożyło kilka rzeczy. Z jednej strony, zarówno Andrzej, jak i Leszek byli osobowościami wybitnymi, szalenie inteligentnymi. Nie zawsze mieli czas przełożyć to na dzieła pisane, natomiast spotkania towarzyskie wszyscy pamiętamy. Byliśmy zawsze pod ich urokiem. I tutaj to miało trochę taki efekt uboczny, że każdy z nich uważał się za kilkakrotnie mądrzejszego od przesłuchującego go ubeka. W związku z tym sądzili, że ta gra, którą prowadzą – bo to określenie „gra”, które już kilkakrotnie tutaj padało jest chyba najtrafniejsze – jest z góry przez nich wygrana. Nie wiedzieli, że mają do czynienia z najlepszym po tamtej stronie trustem mózgów, że życzliwie plotkujący esbek jest znakomicie zaprogramowanym robotem. Nasi konspiratorzy byli czasem naiwni, ba, robili sobie zdjęcia pamiątkowe podczas tajnych spotkań.

Głos z sali:

– A ty?

Bohdan Urbankowski:

– Muszę się przyznać, że też zdarzało się, że złamałem zasady konspiracji. Czasem nie dało się inaczej. Na pewno błędem z mojej strony było to, że dałem się sfotografować na pogrzebie Andrzeja Szomańskiego, ale tam przemawiałem, ostatni raz z nim rozmawiałem, żegnałem się z nim. Ale tak czy inaczej, staraliśmy się takich wpadek unikać. Dmuchał się na zimne. Powiem już w charakterze anegdotki, nad naszą działalnością wydawniczą krążyło widmo, to Michał jako szef naszych wydawców powinien pamiętać, więc nad naszym pisanem do podziemia ciążył mit Komputera w Bydgoszczy. To mówię dużymi literami. Otóż Komputer w Bydgoszczy miał być takim specjalnym komputerem esbecji, która puszczała w tenże komputer nasze teksty i z drugiej strony miały wylatywać nazwiska autorów. Co miało być robione na zasadzie analizy stosowania pewnych słów, powtarzania się pewnych struktur stylistycznych, przysłówków, wykrzykników i tak dalej. I między innymi właśnie Andrzej wprowadził tę manierę, że bardzo często ja poprawiałem jego teksty, a on moje, żeby dzięki temu esbecja, jeśli włoży do Komputera w Bydgoszczy nasze teksty, za cholerę nie wiedziała kto to napisał. Myślę, że jest to też wyjaśnienie pewnej psychozy, która w naszych kręgach panowała. Mianowicie zawsze zakładaliśmy z góry, że w tym środowisku, nawet w tej małej grupie gdzieś tam w kawiarni, wśród przyjaciół, jest donosiciel. Więc mówiło się szyframi, podawało się fikcyjne daty ewentualnych spotkań. Przy czym z góry wiadomo było, co należy odjąć. Którą godzinę od której. Umawiało się na siedemnastą i wiadomo było, że to siedemnasta minus dwa. Umawiało się niby w Empiku, a wiadomo, że to była „Świtezianka” albo odwrotnie, zresztą obydwa te miejsca były przez esbecję obserwowane. Myślę, że czasami oni mieli dużą uciechę z tej naszej konspiracji. Jak przed chwilą Jurek Woźniak opowiadał o udziale w podziemiu i nawet pokazywał zdjęcia – to tak, jakby ktoś przypominał mi o moich błędach popełnianych w tamtych czasach. Jako anegdotkę chcę dodać, że bywały w tej konspiracji momenty wręcz rozkoszne. Ja jednocześnie działałem w ruchu Nowego Romantyzmu, też większość spotkań ostrych, antypartyjnych, niektóre na zasadzie „desantu” na cudze imprezy. Ale

czasem były spotkania jawne, na których aż śmierdziało ubekami. Wtedy niektórzy z nas zaczynali się wręcz licytować w miłości do ustroju, a czasem robiliśmy jaja. Pamiętam, jak organizatorzy pokazali mi dwóch typów, którzy czasami się zjawiają i nagrywają, a przynajmniej notują. Ludzie zaczęli dyskretnie wychodzić z sali. Wtedy Jurek zaczął opowiadać, że kochał partię od dzieciństwa, a ja zainicjowałem zbiórkę na sztuczną szczękę dla towarzysza Kempy, pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Bo od rana buduje komunizm, nie ma czasu zadbać o siebie, a musi nas godnie reprezentować. Oczywiście nie mam pojęcia, czy Kempa miał sztuczną szczękę, ani czy w ogóle miał zęby, ale ludzie przestali się bać – i o to chodziło.

Wracając do Andrzeja. Otóż była osoba, którą myśmy nazywali naszym człowiekiem w ministerstwie. Nazywał się Jan Siekiera. Był kolegą Andrzeja ze studiów. I znów cały ten wątek, całą opowieść znam głównie z jego relacji. Historyk będzie musiał ją sprawdzić. Mianowicie w wersji dramatycznej miała ona wyglądać tak, że obydwaj przyjaciele studiowali polonistykę, Andrzeja miano wyprowadzić wprost z wykładu, po to żeby zastraszyć pozostałych studentów. Andrzej wyładował w więzieniu. Nie wiem czy na dłuższy okres, czy było to przejściowe zatrzymanie, to znów zadanie dla badaczy. W każdym razie Janek Siekiera miał straszne wyrzuty sumienia, że to Andrzeja zamknęto a nie jego. To brzmi paradoksalnie, ale myśmy naprawdę zazdrościli kolegom, którzy siedzieli. Znaliśmy tekst Piłsudskiego o psychologii więźnia, o tym, że więzienie jest częścią polskiej kultury narodowej i jakoś przez to, że nie siedzieliśmy, czuliśmy się trochę mniej Polakami. No, może przesadzam, ale jakieś poczucie winy było, a raczej poczucie długu. Ale z drugiej strony musieliśmy dobrze się chować, bo było nas niewielu, działaliśmy dla kilku naraz grup i gdyby nas wsadzono, to kto by to wszystko uciągnął. Myślę, że Janek przeżywał podobne poczucie długu. Janek skończył polonistykę, Andrzej po powrocie robił już historię i stąd jego późniejsza fascynacja powstaniem i literaturą powstańczą. Ale także zaangażowanie w coś, o czym warto wspomnieć, mianowicie tak zwana akcja historyczna. Na początku małymi literami, potem dużymi, jak Nurt Niepodległościowy. To jest nazwa, któ-

ra narosła z czasem. Tego nikt nie planował, nie było tak, że my tu usiadziemy we trzech – trzeci był docent Łojek – i wymyślimy akcję historyczną. Po prostu, zaczynało się to od sporów historycznych na temat przeszłości, ale każdy z tych sporów był w gruncie rzeczy sporem o teraźniejszość. Takim sporem, który wręcz sygnalizował i nastroje społeczne, i podziały wśród historyków, był spór o postać Stanisława Augusta. Wiadomo było, że ci, którzy są za Stanisławem Augustem są partyjni, a być może nawet i donoszą... Gdzieś wśród tych sporów był też spór, o którym już wspominałem, spór na temat szans powstania listopadowego, bo za tym się kryło w ogóle myślenie o szansach ruchów irredentystycznych, o szansach w ogóle działalności jakiegokolwiek – jawnej, politycznej. W KPN głosy były bardzo podzielone. Mianowicie część uważała, że należy działać jawnie. Na czele tej grupy stał sam przewodniczący, Leszek. No i w momencie, kiedy oni się już poujawniali, z różnymi zresztą skutkami, no to niektórzy z pozostałych doszli do wniosku, że to oni mieli rację, kryjąc się po piwnicach i chodząc kanałami, i nie ujawniając się szpanersko – bo ktoś musi prowadzić robotę, gdy tamci są w pierdlu. Jeszcze do stanu wojennego jakoś szło, potem robił się chaos.

Ale największy chaos, pamiętam, to podczas pierwszego procesu politycznego Leszka i reszty. Jeszcze trwał karnawał „Solidarność”, to był na pozór zupełny absurd, ale wtedy zobaczyliśmy aż ociekające życzliwością oblicza Wałęsy czy Michnika czy Kuronia. Bo to był rok osiemdziesiąty pierwszy. Leszek siedział w pierdlu. A oni robili wszystko, żeby stamtąd nie wychodził, ale żeby „Solidarność” myślała, że coś robią. Taka gra pozorów. Leszka na krótko wypuszczono, potem znowu zamknęto i siedział aż do 1986 roku.

Teraz kolej na następną dygresję. Padało tutaj dzisiaj nazwisko Stefka Melaka. Wspominam go jako wygadanego chłopaka, który przychodził do nas do akademika na Kickiego czasem na jawne, czasem na tajne spotkania, zabierał głos i myśmy go brali za genialnego studenta historii albo może i nawet asystenta. A tymczasem on był jeszcze przed maturą! Po prostu – osobowość wybitna. Melak stworzył wokół siebie coś w rodzaju takiej samozwańczej elity. Bo wszystkie te elity są

samozwańcze zresztą do dzisiaj. Ważne, po której stronie się zwołują, jaki poziom etyki i wiedzy reprezentują. I kiedy Leszek siedział, Stefek przejął razem z Andrzejem Szomańskim coś w rodzaju nieformalnego kierowania Konfederacją Polski Niepodległej, nawet używali określenia Rada Polityczna czy Tajna Rada Polityczna, byłem na kilku spotkaniach i mówiono i tak, i tak. Tam pojawiał się do pewnego momentu Romek Szeremietiew. Teraz dygresja do dygresji: obydwaj z Moczulskim mieszkaliśmy w Warszawie, lecz poznaliśmy się w pociągu do Krakowa, Leszek pisał tekst do programu mojej sztuki wystawianej w Teatrze Starym, a potem jeździliśmy razem do Leszna. Romek miał wtedy jeszcze funkcję wojewódzkiego szefa PAX-u i myśmy z Ludką u niego nocowali. W czasie jednej z takich wypraw popełniliśmy kolejny błąd. Wyjechaliśmy samochodem Leszka z Warszawy, jak należy, to znaczy nad ranem i niepostrzeżenie, na wszelki wypadek boczną trasą, ale jak dojechaliśmy do Łodzi, to postanowiliśmy się z Leszkiem sfotografować przed bramą kamienicy na ulicy Wschodniej, jak jeszcze nie było tej tablicy, która teraz jest. Fotografowaliśmy się także na zamku po drodze, w Rydzynie, koło sfinksa. Zdjęcia są chyba w „Pierścieniu Gygesa” dołączone, więc można zobaczyć i nas, i sfinksa, lekkomyślność na zdjęciu nie wyszła.

Dla nas to były pamiątki, a dla esbeków mogły być ważne tropy: dokąd jadą, jak wyjechali z Warszawy, czy mają kontakty w Rydzynie, gdzie jeszcze itd., itd.

Wracając jednak do PAX-u trzeba przyznać, że przechował fajnych ludzi, którzy jak co do czego przyszło, potrafili się zachować. Oczywiście nie wszyscy, taki Komender poszedł na współpracę z juntą, ale duża część wtedy odeszła. Ujawnił się nawet podział polityczny, bo akowcy odeszli, a narodowcy zostali, żeby ratować substancję. Taka była ocena Przemka, który też odszedł. Wtedy młodzi zbuntowali się ostatecznie i skutecznie. Pierwsze pisemko podziemne, do którego pisałem, jeszcze w grudniu, tak, w grudniu 1981, a potem pierwsza książka, którą wydałem w podziemiu, antologia poezji patriotycznej, ukazała się dzięki temu, że grupa Edka Kirpluka z PAX-u się zbuntowała, potrafiła wyprowadzić maszyny, potrafiła wyprowadzić, no, magazyn to może

za dużo powiedziane, ale jak powiem pół magazynu, to nie będzie to przesadą. I zaczęli wydawać „Słowo Podziemne”. „Słowo Podziemne” dlatego, że mieli tę winietę „Słowa Powszechnego”. Zmieniło się „Powszechno” na „Podziemne” i reszta już dalej szła. Andrzej włączył się jako jeden z pierwszych, sporo pisał, przyjeżdżał na Ursynów, często nocował u mnie, ale to Edek Kirpluk był i szefem gazetki, i całego wydawnictwa. Andrzej od pewnego momentu się ukrywał, więc spaliśmy na zmianę jeden na łóżku, drugi pod stołem, następnej nocy na odwrót. Potem Kirpluk znalazł mu coś lepszego, zresztą nasze mieszkania nie były bezpieczne, miałem kilka razy rewizje. Więc Andrzej zmienił kryjówkę, lecz po paru dniach znowu przyszedł, i to chyba z pięcioma kumplami. Na szczęście chodziło o to, że ukrywali się w dość prymitywnych warunkach i przyjechali, żeby się wykapać. Ludka zrobiła wtedy coś ekstra, bo poniekąd to i owo wyprała, coś tam wygrzebałiśmy z moich ciuchów, kogoś tam zabrał Jurek Szczęsny, też blisko, też na Ursynowie. Szczegółów oczywiście nie znam, nawet w najbardziej zaufanym gronie o pewnych rzeczach nie mówiliśmy. Wiem jednak, że Andrzeja złapali nie dlatego, że Edek czy Jurek popełnili jakiś błąd, meliny pozostały niewykryte, nie wiem, czy dzisiaj ktoś się tam jeszcze nie ukrywa. Andrzeja złapali, bo łazili za jego synem, a Andrzej strasznie go kochał. No i Andrzej poszedł siedzieć, był przesłuchiwany, lecz nikogo nie sypnął. I tu o jednej rzeczy chcę wspomnieć. Mianowicie Edek też kiedyś miał przejścia z esbecją. Był przesłuchiwany, odpowiadał na pytania, jak to uczeń. Co on zrobił? Powiedział swojemu spowiednikowi a ten nie tylko odradził mu następne spotkania, ale kazał sprawę nagłośnić, żeby doszło nie tylko do kolegów, ale i ich rodziców, że bezpieka czepia się dzieci. Esbecy musieli się wycofać, a po paru latach Edek został jednym z najwspanialszych działaczy Podziemia.

Wydawaliśmy razem także oprócz tego „Słowa Podziemnego” antologię poezji podziemnej. Używam liczby mnogiej, bo wydawaliśmy kilka razy. Rzecz była łatwa do zrobienia, dlatego że działając w „Solidarności” myśmy chodzili po strajkujących zakładach pracy. Ja byłem wtedy w teatrze w Płocku i tym strajkującym robotnikom, którzy muszą coś robić, a jest zakaz picia wódki, no to myśmy im czytali wiersze

albo mówiliśmy te wiersze z pamięci. Wtedy zaczęliśmy używać nazwy Scena '81. Także prezentowaliśmy monodram o Piłsudskim *Czarny pierścień*, wykonawczynią była Bożena Mrowińska jako Aleksandra Piłsudska. Drugą wspomniałą osobą był Kazio Tałaj, z którym wcześniej zakładaliśmy w teatrze Komitet Obrony Więzionych za Przekonania, jak wiecie, to w gruncie rzeczy były placówki KPN. Bożena była najpiękniejszą aktorką w teatrze, do tego baba bardzo odważna, wróc, to była prawdziwa dama bardzo odważna, znała na pamięć mnóstwo wierszy patriotycznych, niektóre wiersze mieliśmy w maszynopisach, niektóre spisaliśmy wprost z jej pamięci i antologia dla podziemia była w kilka dni gotowa. Nazywała się *Głosy w ciemności*, po latach wstęp i parę wierszy zamieściłem w „Nowym Państwie”. To nie były teksty kanoniczne, antologia miała ileś tam wariantów. Myśmy wpadli na pomysł, że zgodnie z konspiracją nie będziemy przewozić egzemplarzy wydrukowanych, tylko najwyżej jeden, który znaleźliśmy tutaj w pociągu, w sąsiednim przedziale albo wręcz w ubikacji. I ten jeden egzemplarz potem był rozrywany na kawałki, powielany w Płocku, Kutnie, w Gostyninie i wielu innych miastach. I zdarzało się, że jakiś wódz miejscowego podziemia, a przeważnie wodzami byli poeci, wyrzucał jakiegoś tam Mickiewicza czy Urbankowskiego, a wstawiał do antologii swoje wiersze i jeszcze swojej asystentki. Andrzej, jak powiedziałem, też brał udział w szykowaniu antologii, przynosił jakieś dawne teksty, jeszcze z renesansu czy baroku, były wzniosłe, kunsztowne i zupełnie się nie nadawały. Andrzej też był raz czy dwa w Kutnie. Nie wiem, czy pseudonim Kutnowski, jaki nosił w pewnym okresie nie łączył się właśnie z tą współpracą z Kutnem. I znów dygresja: ogniwem pośrednim był taki poeta, mistyk, Aleksander J. Wieczorkowski. Przepraszam. Bez „jot”. „Jot” to był donosiciel akurat, dziennikarz i partyjny wycieruch. Nasz Wieczorkowski był porządny. I ten nasz Wieczorkowski też wydawał podziemne gazetki i myśmy też je zasilali. Andrzej Szomański był wtedy chyba jednym z takich najbardziej charyzmatycznych przywódców KPN, ale też był najpilniej obserwowany. Więc raz czy dwa jakoś przedostał się do Kutna, z tym że kontakt na Wieczorkowskiego ja nadałem, znałem go jako fantastycznego kumpla z akademika. Po-

lubili się i w ten sposób powstała kolejna grupa, taka solidarnościowo-konfederacyjna. Drugą zrobiliśmy w Gostyninie, gdzie mieliśmy dobre kontakty solidarnościowe. Przypominam, że ja wtedy pracowałem i działałem w Płocku, stąd te kontakty. Andrzej robił wspaniałą robotę organizacyjną w Warszawie, ja byłem na prowincji, mówiąc obrazowo, w jednym z dalszych rzędów. A po latach posadzono mnie w pierwszym rzędzie i wręczono mi krzyż Wolności i Solidarności, a Andrzej niestety nie doczekał. Znalazłem się w jednym z pierwszych rzędów dlatego, że ci przed nami już odeszli, najczęściej nie doczekawszy nawet skromnych medali. My przesunęliśmy się do przodu...

Myślę, że jeszcze o jednej rzeczy trzeba wspomnieć. Niektórzy z was zdążyli się załapać na Uniwersytet Lotny KPN. To była taka półkonspiracja, bo spotkania były strasznie tajne, występowaliśmy pod pseudonimami, ale i tak wszyscy wiedzieli kto jest kto. Andrzej uparcie występował jako Kutnowski, ja gorzej, bo jako „Wolski”, gdybym wtedy wiedział, co za szubrawiec nosił tę ksywę, i że pewna piękna donosicielka też nosiła w SB ksywę „Maria Wolska”... Po jednym z wykładów ustawiła się do mnie kolejka z egzemplarzami mojej książki *Mysł romantyczna*: panie Wolski, niech pan podpisze.

Pomysłodawcą i głównym organizatorem Uniwersytetu Lotnego był Andrzej, ja wymyśliłem nazwę – na wzór Oddziałów Lotnych POW, tyle że w kulturze. Nie ukrywam, że nasz UL to była konkurencja dla KOR-u, oni z tym swoim Uniwersytetem Latającym byli przed nami, mieli kontakty i forszę. No ale chcieliśmy ratować, tego właśnie słowa żeśmy używali, ratować młodzież przed ich wpływami. Mieliśmy znajomych chłopaków, którzy klęli, że KOR wychowa nam pokolenie walczące o finlandyzację i może jeszcze o socjalizm o ludzkim obliczu. Poza tym mieli jakieś pomysły na oddanie fabryk robotnikom, wszystko to było mętne. U nas na UL-u był konkret, bo pani Lena, wtedy nie znaliśmy jej prawdziwego nazwiska, więc Lena, bo wkrótce wszyscy byliśmy na ty, która też prowadziła zajęcia, była zwolenniczką ruchu spółdzielczego i próbowała w podziemiu przygotować takie kadry dla przyszłej Polski. To był najszlachetniejszy kooperatywizm spod znaku Abramowskiego, Lena nawet używała tego staroświeckiego słowa. W ogóle Hele-

na, tak brzmiało pełne imię, była świetną organizatorką, założyła jakieś kółka poza Warszawą, ale szczegółów nie znam, to przecież było tajne, na wszelki wypadek nie chcieliśmy nawet wiedzieć... Niedawno, chyba w Wikipedii znalazłem, że Andrzej to całe przedsięwzięcie organizował ze mną w roku osiemdziesiątym siódmym. Od razu muszę to skorygować. Jeśli już wspominają, to najpierw panią Helenę, ja znów się czuję, jakbym włożył na krzesło kogoś bardziej zasłużonego, a poza tym nie było to w roku osiemdziesiątym siódmym, tylko wcześniej, przed pójściem Andrzeja do więzienia, więc przed marcem 1985, i to sporo wcześniej. Pamiętam, że na jedno ze spotkań przyprowadziłem Andrzeja Ostoję, pisaliśmy wtedy o Piłsudskim, on o Bitwie Warszawskiej, ja ogólną biografię, potem to się rozrośnie i wyrośnie z tego *Marzyciel i strateg*, ale wtedy to była cienka książeczka, tę pierwszą wersję wydałem w Łodzi w 1984 roku, więc te spotkania UL-u musiały być wcześniej. Potem to trochę przykładało, w 85 były aresztowania, wtedy też złapali Andrzeja i jeszcze parę osób. Po wyjściu z więzienia Andrzej próbował ten Uniwersytet Lotny jakoś rozhuścić, ale brakowało ludzi, nie to zdrowie, zwłaszcza Andrzeja. Pierwszą wysoką falę, kiedy spotykaliśmy się w mieszkaniach, a to na Żoliborzu, a to na Saskiej Kępie, tę taką romantyczną falę tego Uniwersytetu Lotnego mieliśmy już niestety poza sobą. Rok 1987 to była końcówka, w tym roku Andrzej umarł, po wyjściu z więzienia już nie odzyskał zdrowia. Potem na krótko, już w siedzibie KPN na Nowym Świecie, jawnie i oficjalnie chcieliśmy powtórzyć część wykładów i oczywiście zwróciliśmy się do Leny. Któryś z młodszych działaczy, który to technicznie organizował, zapraszał, chciał nas nawet sobie przedstawić, pani Helena Rucz-Pruszyńska, powiedział z szacunkiem, a myśmy wybuchnęli śmiechem i rzucili się sobie w objęcia. No i wtedy dopiero poznałem jej pełne imię i nazwisko, a nawet dwa. Niestety Lena też od lat nie żyje i nie dostała krzyża – prócz tego, co na cmentarzu.

Nie chciałem kończyć takim minorowym akcentem. Dodam coś nie po kolei, ale wspomnienia nie przestrzegają chronologii. Chcę jeszcze cofnąć się do roku 1979, kiedy to Andrzej ujawnił się jako organizator transportu ludzi na dalekie odległości, współcześni przemysłowcy uchodźców z Afryki to przy nim tandeciarze.

Pracowałem wtedy w Wałbrzychu i próbowałem wystawić sztukę o Grocie-Roweckim. To miało swoją prehistorię. Grzegorz Królikiewicz reżyserował według mojego scenariusza widowisko o Grocie-Roweckim w telewizyjnym Teatrze Faktu. To zostało zdjęte, po pewnym czasie i my wylecieliśmy z telewizji, ale ja w swojej naiwności sądziłem, że jak ja pojadę to reżyserować aż do Wałbrzycha, to nikt mnie nie zauważy. Oczywiście nie tylko zauważono, ale były też donosy na tę okoliczność. W ostatniej chwili sztuka została zdjęta. Jaroszewicz zadzwonił do Komitetu Wojewódzkiego w Wałbrzychu, wszystkich nas chcieli powyrzucać, zrobiła się straszna chryja. I wtedy Janek Siekiera podsunął nam pewien pomysł: „No przecież zostaliście zdjęci po telefonie Jaroszewicza”.

– Tym gorzej – powiedziałem

– Ale i tym lepiej. Bo było to nieformalne, a władze trochę dbają o pozory. Więc wy wystąpicie do nas do ministerstwa z prośbą o formalne podjęcie stanowiska, że jesteście otwarci na dialog i inne takie rzeczy, a my przyślemy komisję. Oczywiście komisja was (...) – Janek użył terminu, którego ja też użyję na zasadzie historycznego cytatu, że „komisja was udupi, bo po to ona przyjedzie”, ale że możemy wystąpić o zgodę na próby, bo jeżeli mamy to wznowić przed samą Wysoką i Ministerialną Komisją z Warszawy, to my jako biedny teatr prowincjonalny musimy się do tego godnie przygotować. Dostaliśmy zgodę na dziesięć prób. Te dziesięć prób to było dziesięć spektakli tej sztuki. Wiadomo było z góry, że publiczność wałbrzyska może wypełnić salę na dwa, trzy spektakle. I co się dzieje? Nie wiem, czy wspominałem w jednym ze swoich szkiców, że Warszawą rządziły wtedy trzy cudowne damy. To była pani Zofia Idziakowska, to była córka generała Grota, pani Irena Mielczarska-Rowecka i to była pani Elżbieta Zboińska. Ale łącznikiem między pokoleniami, łącznikiem między środowiskami był także Andrzej Szomański. I one rzuciły myśl, a Andrzej zawiadamiał ludzi, organizował autokary, które dowoziły publiczność także z Warszawy, nie tylko z Wrocławia, do Wałbrzycha na to widowisko. Dzięki temu mieliśmy pełną publiczność przez te dziesięć spektakli, na podłodze siedzieli jak starzy partyzanci. No a potem się stało to, co zgodnie

z przepowiednią naszego człowieka w ministerstwie stać się miało, czyli nas udupiono, wyrzucono i spektakl o Grocie widzieliśmy dopiero wiele, wiele lat później. Tą anegdotką chciałem zakończyć. Są to, jak państwo wiedzą, spotkania bardzo prywatne, bardzo osobiste. Mam nadzieję, że przybliżą Andrzeja jako człowieka wspaniałego, czarującego towarzysko. Natomiast ten wytykany mu okres gry z SB, to nie tylko, proszę państwa, efekt pychy czy zarozumiałości osób rozmawiających z bezpieką, a każdy czuł się mądrzejszy, każdy był pewien, że to on wyciąga coś od SB a daje w zamian plewy. To także, mimo wszystko, poczucie wyższej wartości. Słuszna дума, tylko źle użyta. Ale jest jeszcze sprawa, która jest często wspominana, a która nie daje mi spokoju. To sprawa magnetofonu i tego, że Andrzej – nie wiadomo dla kogo, ale przecież wiadomo (he, he) nagrywał spotkanie KPN. Nawet jeśli nagrywał, mógł to robić, jak to się mówi, dla historii a nie dla SB. Ale myślę, że tego nie robił, to było technicznie niewykonalne. Andrzeja obsmarowano przed Czumą. Pamiętam z tamtych czasów, że myśmy z Andrzejem mieli nieomal identyczne magnetofony, mówiło się, że dziennikarskie, niemal miniaturowe. W rzeczywistości były to magnetofony większe od tej „Opinii” i z pięć razy grubsze, a przecież wtedy uchodziły za najmniejsze. Takie coś trudno było przemycić w kieszeni na jakiegokolwiek spotkanie, aczkolwiek nie mogę wykluczyć, że być może esbecja miała już wtedy te mniejsze. Ale czy daliby to Andrzejowi, raczej wątpię. Natomiast proszę zauważyć jedno i niech to będzie pointą mojego wystąpienia. Przecież ta informacja, podana przez Andrzeja Czumę, nie pochodziła od samego Czumy. Pochodziła od agenta, który coś tam w kiblu miał coś tam widzieć, jak Andrzej przesłuchiwał taśmę czy przewijał. Słyszałem kilka wersji, a każda inna, jedyny wspólny moment to ten agent. Przecież ci ludzie byli specjalnie nasyłani, ci ludzie mieli za zadanie skłócać wewnętrznie nasze organizacje, szczuć, niszczyć zaufanie. Ja próbowałem, zresztą bezskutecznie, godzić Andrzeja Czumę z Szomańskim, potem Czumę z Leszkiem Moczulskim i tak mi to weszło w krew, że potem próbowałem godzić Leszka z Adasiem Słomką – z jakim efektem, państwo wiedzą oczywiście. Zakończę na tym, morał sami wyciągajcie. Dziękuję za uwagę i cierpliwość.

DYSKUSJA

Głos z sali:

– Proszę doprecyzować. Ja oglądałem spektakl w telewizji o Grocie gdzieś w latach siedemdziesiątych.

Bohdan Urbankowski:

– To było bardziej skomplikowane. Myśmy to wszystko nakręcali gdzieś w 1977 lub 1978 roku. Mieliliśmy wtedy kontakty ze środowiskiem akowskim, zresztą ja miałem swoje rodzinne kontakty. Ci ludzie darzyli nas zaufaniem. Miał to być długi cykl widowisk pod takim roboczym jeszcze wtedy tytułem „Samoooczyszczanie Ruchu Oporu”. Chodziło o sprawy zdrajców, żeby był ten wątek sensacyjny, o jakieś



dorastanie krytyczne młodzieży, która się bardzo często angażowała na zasadzie romantycznej przygody, a dopiero później dochodziła do postaw głębszych. Między innymi jednym z bohaterów był generał Grot. Inny z odcinków poświęcony był prezydentowi Starzyńskiemu, jeszcze inny Okulickiemu. Rolę generała Grota zagrał ostatecznie Ryszard Filipiński. Dlaczego mówię ostatecznie? Dlatego, że sam byłem jego przeciwnikiem, nie żebym miał coś przeciw Filipińskiemu ale moim kandydatem był Tadeusz Janczar, który zdążył się załapać na AK, był członkiem grup szturmowych Szarych Szeregów. Był trochę podobny do Grota, zbliżony wzrostem, taki trochę Wołodyjowski, trochę ninja, wydawało nam się, że jeżeli on będzie grał swojego dowódcę, to da z siebie wszystko. Niestety, ciągle nam podrzucano kłody, Janczar miał popodpisywane umowy gdzieś tam, w Szczecinie coś grał. I koniec końców obsadzono Filipińskiego, bo po *Hubalu* on miał po prostu opinię, że jest jednym z najlepszych aktorów w galaktyce.

Oczywiście wymagało to pewnych trików. Wtedy doceniłem geniusz Grzesia Królikiewicza. Bo tuż przed wyrzuceniem wezwał nas dyrektor. On się chyba Rolicki nazywał. Tak, Janusz Rolicki – partyjny, ale z tych uczciwszych, Wilniuk, potem zresztą wystąpił z partii a wstąpił do „Solidarności”. Więc ten Rolicki był wtedy dyrektorem w Telewizji. Teatr Faktu, w którym myśmy pracowali z Królikiewiczem, właśnie jemu podlegał. Rolicki nas wezwał i oświadczył, że dostał polecenie od góry – w domyśle od krwawego Macieja (ale nie tylko, ktoś wyżej za tym stał, jak potem się dowiedzieliśmy sam Jaroszewicz). Tak więc Rolicki dostał polecenie, że ma nas wyrzucić. Ale – „Panowie, wiecie, zaczyna się weekend. Jadę teraz na ryby, więc ja was wyrzucę w poniedziałek”.

I co my robimy? Jest piątek wieczór. Grzegorz miał jakieś taśmy. Zjawiły się jakieś sępy, które nam sprzedawały taśmy, pamiętam dokładnie, po 120 za jedną. Było to z kilkakrotnym przebicciem. Niektóre, jak się okazało, pochodziły z Telewizji i trzeba je było najpierw skasować. To byli nasi koledzy z Telewizji, którzy nam coś swojego sprzedawali. Nam, bo przecież nie mieliśmy środków. Ale dzięki temu mogliśmy pod Warszawą w takim dworku pani Królikowskiej kręcić sceny w zasadzie tylko z Grotem Roweckim. Bo Filipiński był, Filipiński

cały czas grał, padał na twarz, nie jadł, nie pił, nie chędożył, cały czas grał. I dzięki temu myśmy w zasadzie mogli prawie wszystkie sceny z Filipskim dokończować, a przecież Grot Rowecki był postacią numer jeden w tym serialu. Natomiast inni aktorzy nie mogli dojechać, nie można ich było nawet w domu znaleźć.

Kiedy pod koniec 1980 roku nastąpiła odwilż – Karnawał Solidarności – to chcieliśmy to jakoś wystawić. Jak wystawić, skoro są pomontowane tylko kawałki? Na niektórych Filipski ma minę niezbyt godną legendarnego generała.

Co robi wtedy Grzegorz Królikiewicz? Otóż Grzegorz nagrywa wodę kapiącą z kranu i Filipski na postsynchronie wygłasza swoją kwestię, ale już nie widzimy jego twarzy śmiertelnie zmęczonej tylko tę wodę, która kapie. – „Doróbcie sobie panowie do tego jakąś symbolikę, głębszą filozofię i tak dalej”. Każdy dorabiał, bo nikt nie chciał być tym, który nie może zrozumieć głęboko ukrytego przesłania. W tamtych czasach zwłaszcza. Wszystko płynie, okupacja przepłynie, komunizm też przepłynie i tak dalej. Grzegorz nakręcił coś o kranie, coś na parapecie, czy za oknem i było jak znalazł! I potem tam, gdzie było widać śmiertelne zmęczenie Filipskiego, to się wstawiało ten kran czy parapet, wycinając sylwetki aktorów. Głosy i tak się głównie na postsynchronach nagrywało, bo jak się kręci to, wiedzą państwo, jakieś dodatkowe szумы się nagrywają (gdzieś tam w kuchni czajnik bulgocze, w przedpokoju aktorki powtarzają role, różne takie historie, które potem w filmie nie powinny się znaleźć).

Potem myśmy to zmontowali. Jedno do drugiego nie pasowało. Sceny jakoś tak przeskakiwały, nawet w czasie. Ale przecież wszyscy wiedzieli, że „Królikiewicz awangardystą jest”. Uznano, że to było tak celowo i awangardowo zmontowane, że był to szczyt po prostu polskiej awangardy. Tak wyglądały przygody z tym filmem.

Myśmy z Telewizją mieli kilka smutnych przygód. Doszło do tego, że musieliśmy wycofywać nazwisko... Był taki nasz serial, mój scenariusz, Grzegorza reżyseria – *Idea i miecz*. Był *Wielki powrót* – obydwie strasznie pocięte. Niestety, to były czasy, gdy cenzura była wszechmocą, autorzy nie mieli żadnego prawa. Gdy żądaliśmy wycofania po-

haratanego spektaklu, to nam mówili – „Owszem, jeżeli zwróćcie za wyprodukowanie” (co wtedy wynosiło jakieś kilka milionów złotych). Mogliśmy zrobić jedno. W ramach protestu moralnego wycofać nasze nazwiska. I to żeśmy zrobili. Najpierw poszło to z nazwiskami, lecz powtórki już bez naszych nazwisk. Natomiast widowisko o Grocie Roweckim poszło w 1981 roku. Uważaliśmy, że jest to symbol czasów minionych i nazwiska żeśmy zostawili – mimo, że nie było to dzieło zakończone.

Głos z sali:

– Wtedy, kiedy to obejrzałem w Telewizji, byłem w szoku. To było zachwycające. Jak oni to puścili?

Maciej Gawlikowski:

– Świetnie, Bohdanie, że podkreśliłeś i opisałeś tę charyzmę Andrzeja. To jest klucz do tej postaci. Znakomicie, że o tym powiedziałeś, bo o takich rzeczach się zapomina, a dla mnie to jest oczywiste ze wspomnień spotkań z nim. To jest niezwykle ważne.

Natomiast bardzo niezręcznego użyłeś, Bohdanie, określenia – „donosy Andrzeja”. Otóż donos to jest forma literatury stosowanej, która zakłada – i to jest immanentna cecha donosu – że jest to oskarżenie człowieka albo instytucji. Z opisów tych Andrzeja kontaktów z bezpieką, tych rozmów, ja nie znam żadnego z dokumentów, w którym Andrzej oskarżałby kogokolwiek. Bo powiedzenie o jakimś dziennikarzu, że był fanem Edwarda Gierka nie było oskarżeniem. Wręcz przeciwnie. Mówienie o tym, że Leszek Moczulski chce niepodległości Polski i nie jest sterowany przez Hupkę, Czaję i wrogie ośrodki – też nie jest oskarżeniem. Zdecydowanie będę tego bronił. Nie znam żadnego donosu Andrzeja Szomańskiego do bezpieki.

Mirosław Lewandowski:

– Zanim oddam głos doktorowi Urbankowskiemu, mam jedną prośbę. Specjalnie tak ułożyliśmy program naszej konferencji, żeby ta sprawa lustracyjna była na początku, a nie na końcu. I bardzo bym

nie chciał, żeby na końcu ta sprawa wróciła tak, że zdominuje nasze spotkanie. Myślę, że to o czym mówił doktor Urbankowski czy też te osobiste wspomnienia Jurka Woźniaka pozwalają nam popatrzeć na Andrzeja Szomańskiego w inny sposób. Jest to ten argument następstwa zdarzeń, który tutaj moim zdaniem jest kluczowy. A temat kwestii metod, celów czy strategii stosowanych przy grach z bezpieczeństwem przez to środowisko akowskie czy ludzi, którzy z nim współpracowali, myślę, że powinniśmy kiedyś zrobić na ten temat osobne spotkanie. To by było bardzo ciekawe. Nawet bym wtedy kogoś z IPN na to zaprosił, żeby posłuchali. Nie wikłajmy pamięci Andrzeja w tę kwestię. To jest temat samodzielny, który wymaga naprawdę długiej dyskusji.

Bohdan Urbankowski:

– Nie kłómy się o definicje. Też zgadzam się, że ważna jest ewolucja „od – do”. Znacznie trudniej było tym, którzy chcieli zerwać, niż tym, którzy nigdy nie podjęli współpracy. Ci pierwsi mogli bać się zemsty, takiej na postrach. Mówiłem także o rozważaniu ludzkich czynów na dwóch szalach.

A co do rodzajów i urody donosów, to muszę się powołać na własny tekst. Otóż jestem autorem analizy, która była drukowana już w prasie, ale mam nadzieję że znajdzie się w następnym wydaniu „Pierścienia Gygesa”. To nazywa się *Wstęp do poetyki donosu*. Opisuję po prostu donos jako rodzaj literatury epistolarnej, specyficznej dla państw socjalistycznych i dzielę ją w zależności od tego, czy schyla się w stronę wyznań intymnych, czy w stronę reportażu, czy jest w niej chęć przypodobania się władzy, czy chęć załatwienia sąsiada albo na przykład dziennikarza z konkurencyjnej gazety, albo w ogóle kogoś nielubianego. Form podawczych jest wiele, nie tylko oskarżenie, czasem obrona albo pozorna obrona. Czasem lekceważąca krytyka, która przytępia czujność bezpieczeństwa. I w ramach tej klasyfikacji, bez określenia stopnia winy, bo patrzyłem na teksty jak na teksty. Poznałem donosy ponad 300 autorów (chyba 316, o ile pamiętam). Umieściłem teksty z pogranicza literatury faktu adresowane do bezpieczeństwa, w kilku przypadkach do partii, bo po prostu się mieściły w tej mojej „tablicy Mendelejewa na

donosy”. Jedne były prawie grafomańskie, inne były zgrabniejsze literacko, prawie literatura piękna. Prawie literatura miłosna – w listach, bo jak nazwać listy deklarujące miłość do ustroju, a zwłaszcza do bezpieczeństwa i do tego nienawiść do jego wrogów. Myślę, że tutaj mistrzynią była Maria Wolska, czyli „Barbara Kmicic”, a sam fakt, że była poetką, sytuuje ją bardzo wysoko. Elaborat Mencwela z 1968 roku, zawierający dużo uwag socjologicznych, też stawiam bardzo wysoko. Były też donosy mówione, które można zaliczyć do gawęd, ale spisanych przez esbecję post factum. Takimi cudownymi gawędami były donosy Aleksandra Nawrockiego, co łączyło się z tym, że on też poetą był. Był poetą niespełnionym, nie wychodziło mu, ale w tej właśnie podliteraturze epistolarnej się spełniał. Popuszczał wodze fantazji, robił figlarne aluzjki... Więc jemu też należy się miejsce w czołówce. Świetny był też Leszek Żuliński i tu muszę dodać, że trochę mu pomogłem. On napisał jeden z najlepszych donosów w naszej literaturze. A dlaczego? Bo był to donos ze spotkania ze mną właśnie w Klubie Pietrzaka. Miałem dobre gadane, on to tylko zapisywał i dzięki temu zaczął robić karierę i należy mu się miejsce w czołówce. Oprócz wartości artystycznej jego donos miał wartość historyczną. Dzięki niemu wiem, że 15 listopada 1974 roku miałem już zarys przyszłej *Czerwonej mszy* i po godzinie 18 zaprezentowałem go publicznie. Więc na koniec, apeluję już do młodszych kolegów, do historyków, smakoszy literatury i w ogóle ludzi dobrej woli, żeby wydali taką *Antologię najlepszych donosów polskich*. Dlatego, że to jest ważny element naszego życia, a niektórym się przyda jako wzór.

Maciej Gawlikowski:

– Ale Andrzeja tekstów tam nie będzie.

Bohdan Urbankowski:

– Andrzej akurat, jeśli mam to oceniać jako krytyk literacki, był dość słaby, nerwowy.

Esbecja stosowała bardzo pokrętne procedury i klasyfikacje. Było klasyczne doniesienie płatne (od sztuki albo miesięcznie), ale było też

„doniesienie ze słów”, czyli takie, o którym donoszący mógł nawet nie wiedzieć. Powstało, bo esbek nie tylko występował jako esbek. Czasem się przedstawiał na przykład jako kolega z jakiejś redakcji albo jako chętna blondynka, słuchał zwierzeń a potem pisał donos. I takie też są. I bardzo często esbek pisząc – psuł styl, coś pomijał, że o błędach ortograficznych nie wspomnę. Oczywiście korekta powinna to puścić tak jak jest, ale dodać nazwisko esbeka jako współautora.

Natomiast w przypadku Andrzeja, myślę, że jego gra, bo i on grał, i Leszek grał, polegała na tym, że sprzedawał esbecji do pewnego momentu to, co zakładał, że ona wie. Wiele informacji bardzo istotnych ukrywał. Na przykład – wizytę Moczulskiego w Krakowie. Było kilka takich wizyt, parę razy i ja na takich byłem (raz nawet spaliśmy w tym samym hotelu – koledzy z Krakowa wiedzą co to za hotel był – obok Bramy Floriańskiej; a podobno spaliśmy w tym samym pokoju, w którym spała Róża Luksemburg ze swoim kochankiem). Więc to był już taki superapartament, nie tylko śniadanie, lecz i sny były już wliczone do rachunku. Następnego dnia byliśmy na Wawelu. Ani śladu w donosach Andrzeja. Były jakieś sprawy, o których można było wyczytać w gazetach, na przykład, że generał Abraham był na Jasnej Górze. Ale to cała Polska widziała, że był. A o spotkaniach z Abrahamem, o tym, że przyjechał z Łodzi Ostoja, a sam go doprowadzałem na Żoliborz – ani słowa. Nie ma tu elementu ujawnienia tajemnicy przed zleceniodawcą, nie ma zysku, nie ma niczyjej krzywdy.

Maciej Gawlikowski:

– Nie ma donosu. Po prostu.

Bohdan Urbankowski:

– Tu trzeba patrzeć na to w sposób trochę bardziej skomplikowany. Mianowicie niektóre informacje dla osoby informującej mało istotne mogły potem służyć do szantażu, do wykorzystania przeciwko komuś.

Maciej Gawlikowski:

– Ale tu nie ma takich!

Bohdan Urbankowski:

– Wydaje mi się, że w tym, co on wypisywał na temat WTK, spotkań w redakcji, mogło wynikać, że on zakładał, że tam było więcej donosicieli. To był ten okres, o którym już była tutaj mowa. Był w bardzo złej sytuacji psychicznej, wyrzucenie z pracy, konflikt rodzinny.

Ale pamiętam go także z późniejszych czasów, gdy mamy do czynienia z Andrzejem zupełnie innym. Mało kto wie o tym, że na Ursynowie była taka centrala handlu literatury niezależnej. To było właśnie w latach 80., w czasie tej wojny polsko-jaruzelskiej. I to między innymi organizowała właśnie jedna z tych trzech dam, a właściwie jej córka – córka pani Zofii Idziakowskiej, Anka. To się mieściło przy takim ośrodku nauczania języków obcych, któremu patronował Empik i gdzie Andrzej zaczął formalnie pracować. Więc myślę, że z jakiejś dokumentacji, bo formalną umowę podpisywał, można zrekonstruować dokładnie, kiedy – od dnia do dnia – Andrzej tam był i kiedy działał ten podziemny ośrodek. Tam było wszystko! Przede wszystkim była prasa KPN (wtedy rarytas), była prasa Solidarności, nawet tolerowaliśmy prasę środowisk korowskich na tej zasadzie, że jednak nasza jest lepsza i że prawda się przebijе. I to jest myślę argument na rzecz jednej tezy.

Każdego człowieka dzielimy zawsze na dwóch szalach. To już robili Egipcjanie. Państwo znają ten wątek rzucania pióra na wagę. Otóż w przypadku Andrzeja po stronie rzeczy złych czy wątpliwych, tak samo zresztą jak w przypadku Leszka, jest niewiele. Jest naprawdę bardzo mało takich sytuacji, w których źle ocenili czy przecenili własną możliwość, nie docenili wroga. I nigdy nie poszli na służbę, nigdy nie wygrali w Totolotka. Natomiast popatrzmy na ich rzeczywiste zasługi dla ruchu niepodległościowego.

Powstaje on w momencie dramatycznym. To pokolenie, o którym dzisiaj koledzy z Krakowa mówili – to pokolenie starych akowców – odchodzi. Oni przejmują tę olimpijską pochodnię. Oni to robią. Leszek to robi, Andrzej Szomański to robi, Stefek Melak, Jurek Szczęsny, Edek Kirpluk, Andrzej Ostoja Owsiany. Dziś jest dobra okazja, by te nazwiska przypomnieć. Przecież nasz Instytut Historyczny nn tam ma swoje korzenie.

Mówi się, że powstał w podziemiu. W rzeczywistości wymyśliliśmy

go w kawiarni Klubu Ekonomistów na Nowym Świecie. Na spotkaniu było dwóch Andrzejów, osobiście eskortowałem Andrzeja Owsianego z Dworca Centralnego do tej knajpki. Drugi Andrzej to oczywiście Szomański, był Jerzy Łojek, był też drugi Jerzy – Jurek Szczęsny, legendarny przywódca Marca '68 w Łodzi. To był fenomen pracy, działał i w Solidarności i w KPN, współorganizował z Maćkiem Łukasiewiczem podziemne wydawnictwo „Most”, potem na zasadzie jawno-tajnej obaj zorganizowali miesięcznik „Wiara i Odpowiedzialność”, który był giełdą i miniparlamentem wydawnictw opozycyjnych. Sekretarzem redakcji był Staszek Więckowski, lider Solidarności nauczycielskiej i redaktor pisma „Tu i Teraz”. Więc i do tego pisma pisaliśmy, i mieliśmy wśród tych nauczycieli spotkania. Była Grażyna Gołąb, nie tylko odważna, ale i śliczna (mam nawet w domu jej portret, gdyby ktoś nie wierzył).

O tym, że był Jerzy Łojek już wspominałem. Z tym, że on działał wcześniej, miał dużo pomysłów na Instytut Historyczny. Odszedł w końcu 1986 roku. Dał nam kilka tekstów i umarł (nie udzielono mu pomocy na czas). Łojek drukował anonimowo, a czasem jako Leopold Jerzewski (jego ojciec, który zginął w Katyniu miał na imię Leopold). Łojek odszedł jeszcze przed Andrzejem.

Bo niestety, wszystkie nazwiska, które przed chwilą wymieniałem, to nazwiska nieżyjących, to taki apel poległych (kolejnego oddziału).

To była mądra i odważna, powiem więcej: to była bohaterska kontynuacja nurtu niepodległościowego, kolejna fala po konfederatach barskich, żołnierzach obu powstań, legionistach Piłsudskiego i po akowcach, którzy w jakimś sensie byli ojcami chrzestnymi naszego ruchu. Kolejna fala, która i nasniosła, a wielu pochłonęła. Nurt niepodległościowy, akcja historyczna, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, KPN – za każdą z tych prac historycznych, ciężkich i ryzykownych prac, stoi osoba Leszka Moczulskiego i od pewnego momentu Andrzeja Szomańskiego. I to im trzeba oddać. Bo inaczej nigdy nie będziemy mogli docenić takich ludzi jak Mochnacki czy Brzozowski. A sięgając głębiej i mówiąc o historii świata, trzeba dorzucić i świętego Pawła, i to, że nie każdy zdobywał się na to, żeby zostać świętym Pawłem i cierpieć. Niektórzy do końca pozostawali Judaszami.

MACIEJ GAWLIKOWSKI

ur. w 1967 roku, dziennikarz, autor filmów i książek, producent telewizyjny. W latach 80 wydawca i dziennikarz prasy II obiegu.

Od 1990 roku w TVP – reporter i wydawca programów informacyjnych w Telewizji Kraków, reporter „Wiomości” i „Panoramy”, współtwórca i wydawca programu publicystycznego „Puls Dnia”, szef redakcji informacji Telewizji Wiśła.

Od 1997 roku niezależny dziennikarz i producent – stały współpracownik m.in. RTL 7, Polsatu. Autor reportaży i filmów dokumentalnych na temat najnowszej historii Polski. Publikował m.in. w „Newsweeku”, „Tygodniku Powszechnym”, „Pressjach”. Współautor książek: *Bez wahania, Prześadowani, wyszydzani, zapomniani... Niepokonani, Gaz na ulicach* (nagroda „Książka historyczna roku 2012”), *No Future! Historia krakowskiej FMW* („Książka historyczna roku 2015”).

Ukończył studia organizacji produkcji filmowej i telewizyjnej.

W 2009 roku odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

MIROSŁAW LEWANDOWSKI

ur. w 1961 roku, z wykształcenia prawnik (radca prawny), z zamiłowania – historyk.

Posel na Sejm I kadencji, b. pracownik naukowy UJ (Katedra Prawa Cywilnego i Międzynarodowego Prywatnego).

Autor publikacji historycznych, m.in. nt. lojalci Jarosława Kaczyńskiego („O sfalszowanej lojalce Jarosława Kaczyńskiego raz jeszcze” – <https://histmag.org/O-sfalszowanej-lojalce-Jaroslaw-Kaczynskiego-raz-jeszcze-11165>), nt. konspiracji szkolnej w Krakowie w okresie stanu wojennego („Sowiniec” nr 36-37; http://www.sowiniec.com.pl/multi/sowiniec_36-37.pdf) oraz (wspólnie z Maciejem Gawlikowskim) książek, które głosami czytelników uzyskały tytuł Książek Historycznych Roku w latach 2012 oraz 2015: *Gaz na ulicach. KPN w Krakowie, Stan wojenny. 1981-1982* oraz *No Future! Historia krakowskiej FMW*.

JERZY WOŹNIAK

w latach 1984–1986 kolporter (wspólnie z ojcem, działaczem podziemnej „S” w Ursusie Waldemarem Woźniakiem) pism podziemnych m.in. „Tygodnika Mazowsze”, „PWA”, „Wolnego Głosu Ursusa”. 1986–1989 koordynator sieci kolportażu podziemnych wydawnictw w Ursusie Niedźwiadku; założyciel, organizator i wykonawca prac technicznych, autor, redaktor, koordynator kolportażu podziem-

nego pisma młodzieżówki KPN „Świt Niepodległości”. 1986–1990 członek KPN. 1987–1988 w kierownictwie Akcji Bieżącej Obszaru Warszawskiego; 1988–1989 uczestnik Kongresu KPN w Warszawie, organizator wykładów dla młodzieży i projekcji filmów. 1988–1990 członek redakcji „Gazety Polskiej”; z-ca szefa Obszaru Warszawskiego ds. młodzieży licealnej. W 1988 współorganizator manifestacji patriotycznych w Warszawie i towarzyszących im akcji ulotkowych, w maju 1988 wspomagał strajk NSZ na Uniwersytecie Warszawskim. Za działalność w opozycji odznaczony decyzją Prezydenta RP Krzyżem Wolności i Solidarności. Od 1992 pracownik Fundacji „Polsko-Niemieckie Pojednanie”. Absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Akademii Podlaskiej w Siedlcach oraz Wyższej Szkoły Humanistycznej w Puławach. Autor artykułów i publikacji z zakresu najnowszej historii Polski. W 2015 roku wydał powieść historyczną *Mazur*, wyróżnioną w konkursie literackim organizowanym przez TVP3, Radio Olsztyn i Wojewódzką Bibliotekę w Olsztynie. Książka *Mazur* zebrała dużo pozytywnych komentarzy i recenzji m.in. od środowiska byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. *Cyrograf* jest drugą powieścią Jerzego Woźniaka osadzoną w realiach II wojny światowej na dawnym pograniczu mazowiecko-pruskim. Woźniak należy do entuzjastów idei współpracy polsko-niemieckiej, czego wyrazem jest przekład jego pierwszej powieści historycznej *Mazur (Der Masure)* przez Wernera Hölschera-Valtchuka z Berlina, do którego wstęp napisał pułkownik Matthias Rogg z Muzeum Wojskowo-Historycznego w Dreźnie. W 2016 roku Księgarnia Naukowa im. B. Prusa w Warszawie oznaczyła *Mazura* tytułem bestselleru.

BOHDAN URBANKOWSKI

(urodzony 1943) – pisarz, poeta, dramaturg, prozaik i filozof.

Ukończył studia polonistyczne i filozoficzne na Uniwersytecie Warszawskim; poświęcona Dostojewskiemu praca doktorska doczekała się dwóch wydań (*Dostojewski – dramat humanizmów* – 1978, 1994). Był twórcą i teoretykiem Nowego Romantyzmu – ruchu literackiego i politycznego jednocześnie. Głosząc hasło ocalania narodu przez kulturę, ruch ten nawiązywał do literatury romantycznej, okupacyjnej i emigracyjnej, wydał wiele legalnych i nielegalnych publikacji, zorganizował dziesiątki jawnych i tajnych imprez (zasada „gry na dwóch fortepianach”) na terenie Warszawy i całego kraju, działał wewnątrz kultury studenckiej i w ZNP. Rozwinięciem „noworomantycznego” manifestu było kilkanaście dramatów historycznych, książki filozoficzne, a także monografie najwybitniejszych Polaków: Mickiewicza, Piłsudskiego, Jana Pawła II i Zbigniewa Herberta. Nie-

które utwory Urbankowskiego (np. poemat *Przedwiośnie* – o Marcu '68) były latami poszukiwane przez bezpiekę. Wydany początkowo w podziemiu wybór tekstów Piłsudskiego ukazał się w 1989 roku legalnie pt. *Józef Piłsudski. Myśli, mowy, rozkazy* i osiągnął rekordowy nakład 170 tysięcy egzemplarzy (!).

Od studiów do końca PRL inwigilowany przez SB (m.in. jako figurant „Roman-tyk”), przesłuchiwany i z przyczyn politycznych wielokrotnie usuwany z pracy – z dwóch uczelni, z telewizji, z radia i z kilku redakcji – z „Orientacji”, „Człowieka i Światopoglądu”, „Poezji”, „Wiary i Odpowiedzialności” i „Studiów Filozoficznych” (z tej ostatniej redakcji za „notoryczne propagowanie tzw. filozofii narodowej kosztem marksizmu-leninizmu”). Działając w Płocku zorganizował tam pierwszą i jedyną scenę Solidarności w Polsce – Scenę '81. Sztuki Urbankowskie- go były blokowane bądź zdejmowane ze sceny – np. *Białe ogrody* w krakowskim Teatrze Starym, sztuka o gen. „Grocie” w Wałbrzychu, Poświęcony Piłsudskiemu *Czarny pierścień* w Płocku czy sztuka o Mochnackim (zdjęta z prób Teatru Kielec-kiego, przywrócona na fali „odwilży” w roku 1981); podobnie prześladowane były książki. Po rozbiciu przez władze Konfederacji Nowego Romantyzmu związany z niepodległościowym nurtem opozycji, współredaktor pism i wydawnictw pod-ziemnych (gł. KPN i Zw. Piłsudczyków). Po wprowadzeniu stanu wojennego – jako działacz Solidarności – usunięty z Polskiego Radia, nie mogąc się zatrudnić w Warszawie – rozpoczął wieloletnią pracę w Teatrze Płockim jako konsultant – kierownik literacki. W stanie wojennym współorganizował i współredagował wydawnictwa podziemne, pisywał m.in. w „Słowie Podziemnym”, w łódzkim „Przedświcie”, w berlińskim „Poglądzie”, warszawskim „tu teraz” (pismo Soli-darności nauczycieli), a przede wszystkim w wydawnictwach KPN i Solidarności. Współredagował kilka książek i wydał kilka własnych pozycji – m.in. dwie książki poświęcone Piłsudskiemu i fragmenty *Czerwonej mszy*. Jako prezes ZLP organi-zował dwa Sejmiki w Obronie Kultury Narodowej, kilkadziesiąt sesji naukowych i literackich poświęconych literaturze walk o niepodległość (powstania XIX–XX w., wojna 1920, SiN, Powstanie Antysowieckie); organizował także wyjazdy polskich literatów na Wileńszczyznę i (mimo trudności) wymianę kulturalną z Za-olziem; w ramach pomocy przewoził lub przysyłał na Wileńszczyznę i Zaolzie setki książek. W 1992, w rządzie premiera Olszewskiego był krótko doradcą ds. kultury, oświaty i wychowania przy MON.

Stypendysta Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku i Fundacji Dembiń-skiego w Paryżu, dwukrotny delegat na zjazdy Ligi Antykomunistycznej (obok Rafała Gan-Ganowicza) w Paryżu i Nowym Jorku (1989, 1990); w roku 2000

kandydat środowisk niepodległościowych na stanowisko prezesa IPN. W 2003 otrzymał Nagrodę Sejmiku Mazowieckiego za *Dramaty Płockie* i wybór wierszy *Gra z czasem*, w 2005 – Nagrodę Norwida. Kawaler orderu POLONIA MATER NOSTRA EST (11 XI 2002), medalu Solidarności Zasłużony w walce o niepodległość i prawa człowieka 13 XII 1981 – 4 VI 1989 (wręczony 13 XII 2001), Medalu Piłsudskiego (11 XI 1995), oraz odznaki Zasłużonego Działacza Kultury – *Za pracę w podziemnym ruchu wydawniczym 1982–89* (2001). Otrzymał Złoty Laur SDP za rok 2013. Za działalność na terenie Mazowsza otrzymał medal Zasłużony dla miasta Ciechanowa oraz Nagrodę Prezydenta Płocka. W czerwcu 2018 roku otrzymał nagrodę za książkę *Źródła* przyznaną przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego.

Za działalność w opozycji w PRL odznaczony w 2014 roku Krzyżem Wolności i Solidarności, a w 2017 Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

O twórczości:

Bohdan Urbankowski jest czterokrotnym laureatem konkursu na dramat współczesny za: *Teatr Kaliguli* (1973), *Białe ogrody* (1974) *Jest pan wolny Herr Graf* (1975), *Trwa jeszcze bal* (1986), oraz Nagrody Młodych za sztukę *Mochnacki. Sny o ojczyźnie* (1981). Dramaty zostały wydane w dwóch książkach: *Dramaty Płockie* (2005) i *Sny o ojczyźnie* (2013). W pierwszym zbiorze znalazły się także realizowane w konwencji światło i dźwięk wielkie widowiska plenerowe Urbankowskiego: *Ostatni sejm wolnej Polski* (1831), *Masław*, *O zbrodni i pokucie króla Bolesława*, *Obrona Płocka 1920* (wystawiana także pt. *Ballada o dzieciach z Płocka*, *Płonące cyfry 1863*, *Głos dzwonu*, *3 Maja*, *Millenium*, wspólnie z Markiem Mokrowieckim). W drugim zbiorze znalazły się dramaty z czasów Konfederacji Barskiej, ostatnich lat rządów króla Stanisława, Powstania Listopadowego, a także pierwszy w dziejach powojennej literatury dramat *Żelazne kwiaty*, którego bohaterem był Piłsudski.

Urbankowski ma też w dorobku scenariusze filmowe i telewizyjne (Nagroda im. Bohaterów Warszawy za *O coś więcej niż przetrwanie* i za dramat *Powstańcy*, poświęcony gen. „Grotowi” i żołnierzom Powstania Warszawskiego – 1981). Wydał też osiem zbiorów wierszy, z których kilka otrzymało nagrody: (*W cieniu* 1973 – za najlepszy debiut, *Głosy* – jako najlepszy tom roku (1973), Nagrodę im. Słowackiego (12 XII 1992, za *Erotyk dla następcy*, *Galerię rzeźb pośmiertnych*, III wyd. *Głosów*), Nagrodę i tytuł Księcia Poetów (1993 za IV wyd. *Głosów* oraz wybór wierszy i dramatów *Chłopiec, który odchodzi*), austriacką Premię Georga

Trakla za rok 1992 (za *Głosy*, wręczona 17 III 1993) i Broniewskiego – za tom *Podróże* (2010). W roku 1998 za *Listy o tolerancji* zamieszczane w „Ziarnach” i za książkę o kulturze stalinizmu (*Czerwona msza*) – otrzymał Laur Posła Prawdy.

Urbankowski jest także autorem rozpraw filozoficznych, m.in. dwóch syntez polskiej filozofii narodowej: *Mysł romantyczna, Absurd – ironia – czyn* (1981), książki o polskich nieortodoksyjnych socjalistach *Kierunki poszukiwań* (1981/83), oraz książki o światopoglądzie Piłsudskiego *Filozofia czynu*.

Urbankowski ma w swym dorobku także monografie najwybitniejszych Polaków: *Adam Mickiewicz. Tajemnice wiary, miłości i śmierci* (2002, nominowana do Nagrody Norwida w 2003 r.), Karola Wojtyły (2002), Zbigniewa Herberta (2004) oraz monografię o Piłsudskim, wydaną najpierw w drugim, potem w normalnym obiegu pt. *Józef Piłsudski – marzyciel i strateg* (Nagroda tygodnika „Nasza Polska” 2001). Książka *Trzema drogami nadziei* poświęcona życiu, twórczości literackiej i filozofii Karola Wojtyły, przetłumaczona na słowacki została wręczona papieżowi w wersji polskiej i słowackiej (*Svätec*) przez przewodniczącego parlamentu Pavla Hrušovského podczas pobytu Ojca Świętego na Słowacji latem 2003. Dwukrotny laureat Nagrody im. Hulewicza – za autorską antologię poezji słowackiej *Bóg dał mi słowo* (2002) oraz za dwujęzyczny tom wierszy *Ostrów Pieszczany* (2004).

Pierwsza i jak dotąd jedyna w skali światowej, ponad 700-stronicowa monografia Zbigniewa Herberta *Poeta, czyli człowiek zwielokrotniony* otrzymała Nagrodę im. Norwida i Nagrodę Światowego Dnia Poezji.

W 2013 roku Urbankowski wydał dwie poważne, liczące się w literaturze polskiej pozycje: 500-stronicową powieść *Ścieżka nad drogami. Fraktale*, oraz blisko 700-stronicowy *Pierścień Gygesa. Szkice z tajnej historii Polaków*.

Pierwsza z książek ukazuje, jak dzieje rodziny bohatera *Fraktali* spletały się z tzw. Wielką Historią; jest jedyną polską powieścią, której tło stanowią wydarzenia od 1920 roku poprzez wojnę 1939, Powstanie Warszawskie, Poznań 1956 i masakrę na Wybrzeżu aż po działalność Solidarności. Finał stanowi opis opuszczenia Polski przez wojska sowieckie – rzeczywisty moment odzyskania niepodległości.

Pierścień Gygesa stanowi dopełnienie słynnej *Czerwonej mszy*, która opowiadała o instalowaniu sowyizmu w Polsce, o Powstaniu Antysowieckim, o niszczeniu politycznym, ekonomicznym i kulturowym Polski. *Pierścień Gygesa* mówi o towarzyszących tym akcjom działaniach tajnych, o skrytobójstwach, oddziałach pozorowanych i rozbudowie tajnej agentury – łącząc te wątki z ilustrowaną dokumentami IPN biografią polityczną autora.